

CENA 50 GR.

ROK II. NR. 12 (25)

WARSZAWA

SOBOTA

24 - III - 1934 R.

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

JÓZEF CHAŁASIŃSKI

PRODUKTYWIZM USPOŁECZNIONY

Interesujące artykuły p. Suchodolskiego p. t. „Oskarżenie techniki” („Pion”, 25. XI. 33) i „W sidłach produktywizmu” (24. XI. 34), czytałem z zupełnie świeżymi jeszcze wrażeniami z kraju produktywizmu, ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Żywo też miałem w pamięci, ogromny kontrast, jaki uderza po przyjeździe z Ameryki do Anglii, a następnie z Anglii do Polski. Kontrast ten dotyczy, nie tylko materialnej strony, stopy życiowej społeczeństwa, ale przede wszystkim filozofii życiowej, stosunku obywatela do państwa, do władzy, do prawa, stosunku człowieka do człowieka i do kultury. W tych wszystkich dziedzinach kontrast pomiędzy temi trzema krajami jest tak wielki, że zmusza do zastanowienia się, jaką treść zawiera pojęcie „współczesnej kultury”, obejmujące wszystkie współczesne kraje cywilizowane — Anglię, Francję, Niemcy, Polskę, Rosję Sowiecką, Rumunię, Stany Zjednoczone A. P. i t. d. — i czy ludzkość współczesna rzeczywiście stanowi jedną całość, a nasza epoka, tę samą epokę dla wszystkich społeczeństw. Słowem, o ile można oskarżać współczesną „ludzkość”, „kulturę” i „epokę”, jako całość, o zdeprawowanie człowieka, i o ile oskarżenie takie jest jednakowo sprawiedliwe i słuszne w odniesieniu do Stanów Zjednoczonych A. P., Anglii i Polski.

Zacznijmy od Ameryki. W Ameryce kultura maszyny, fabryki, techniki, konstruktywizm, kultura produkcyjnej ekonomicznej pracy, podniesione zostały do wysokości najwyższych wartości i stały się miarą wartości człowieka, jego uznania i znaczenia społecznego. Ameryka jest niewątpliwie tym krajem, w którym „produktywizm — jak pisze p. Suchodolski — apelując do drogi człowiekowi idealnego potęgi twórczej, pojmując w sidła jego duszę i podcina możliwość prawdziwie ludzkiego życia”. W Ameryce „produktywizm odwraca stosunek uzależnienia działalności twórczej od możliwości konsumpcyjnych i wymaga podporządkowania spozycia — produkcji”.

Panowanie nad światem rzeczy i budowanie materialnej rzeczywistości jest ideałem mocy współczesnego barbarzyńcy z amerykańskiej dżungli, jak określa społeczeństwo amerykańskie W. Frank, jeden z wybitnych krytyków współczesnej Ameryki. Potęga, polegająca na panowaniu nad światem zewnętrznym, uzewnętrzniająca się w konstruktywizmie i w masie, jest bóstwem Ameryki, a drapacz nieba — jego symbolem i świątynią. W doskonałej charakterystyce Amerykanów, napisanej przez S. de Madariagę, są oni przyrównani do chłopców. Drapacz nieba, maszyna, błyskawiczna winda, upajają Amerykanina, tak jak zabawki techniczne i konstruowanie upaja chłopca. I jeden i drugi nie odkrył jeszcze siebie, i swej osobowości nie wyodrębnił z otaczającej go rzeczywistości zewnętrznej. Jeden i drugi ma silne dążenie do mocy i potrzebę ciągłego sprawdzania przyrostu swej mocy, uwidoczniające, go się w rzeczach przez niego zrobionych i będących jego uzewnętrznieniem. Obydwaj są obojętni na piękno przyrody i dla obydwóch stąpiętrowy drapacz nieba więcej znaczy, niż Wodospad Niagara. Życie amerykańskie jest jak życie chłopców z okresu poprzedzającego „odkrycie swej jaźni”, życie, którego nie przeniknęła jeszcze i nie uszlachetniła miłość. Życie obydwóch jest jałowe

i suche dla tych, dla których sens życia leży w człowieku, a nie poza nim. Amerykański produktywizm posiada te cechy, których głębią i interesującą analizę dał p. Suchodolski w swoich artykułach.

Ten amerykański produktywizm i chłopięce barbarzyństwo jest jednak obce społeczeństwu angielskiemu. Anglicy, to już nie chłopcy; to ludzie dojrzały. Nie można im odmówić produktywizmu, ale w produktywizmie angielskim dominuje człowiek, który wyszedł już z okresu chłopięcego barbarzyństwa, odkrył siebie i ocenia rzeczy w odniesieniu do samego siebie. Konstruktywizm i produktywizm nie prowadzą w Anglii do podporządkowania człowieka — maszynie, jakości — ilości, i wszystkich wartości ludzkich — rynkowi zbytu, a charakteru człowieka — kwalifikacjom produkcyjności. Przeciwnie, charakter — w ocenie człowieka w Anglii usuwa w cień wszystko inne — majątek, uzdolnienia produkcyjne i wykształcenie.

Był czas, że w zakresie produktywizmu Anglija przodowała ludzkości. Dzisiaj zagroza jej już poważnie konkurencja młodszych kulturalnie Amerykanów i Japończyków. Zbyt pewny swojej supremacji w świecie, Anglik zaniedbuje właściwości, które mu tę supremację zdobyły. Dzisiejszy Anglik nie jest opanowany „gorączką działalności twórczej”, która go „zaciąga w ciężką niewolę”, nie jest „instrumentem”. Doskonale zna smak życia i wartość długiego weekendu. Anglik, to cel „sam w sobie”, w nim świat się zaczyna i na nim kończy się.

A teraz Polska współczesna. Powróćmy do analogii z chłopcami. Polacy, to także chłopcy, jak Amerykanie, ale chłopcy może niezupełnie zdrowi. Wskutek dzieciństwa, które nie odbywało się w normalnych warunkach społeczno-gospodarczych i politycznych, cierpią na „inferiority complex”, dzięki czemu są raczej destrukcjonistami, niż konstruktywistami. Amerykanin, jak zdrowy chłopak, dąży do pokazania swej mocy w konstruowaniu, w tworzeniu rzeczy zewnętrznych. Anglik jest już tak pewny swej mocy i wyższości, że nie wysila się na jej pokazywanie. Bo i komu ma ją pokazywać, ludziom drugiego rzędu? Wszak legendarny Anglik powiada, że „Murzyni zaczynają się już od Calais”. Polak, jak chłopiec obciążony poczuciem niższości, przejawia swą moc raczej w złośliwej krytyce i negacji, niż w konstruktywizmie i produktywizmie. Psychika polityczna Polaka, jak słusznie zauważył prof. Znamierowski, nosi cechy infantylne, cechy chłopca z okresu przekory.

Trudno powiedzieć, że „sidła produktywizmu” czyhają na duszę człowieka w Polsce. W Polsce niema bowiem ani dążenia do potęgi twórczej, ani kultu pracy produkcyjnej i pędu do produkcyjności, cechującego społeczeństwo amerykańskie. To wszystko, na szczęście, rozwija się u nas. W kierunku produktywizmu zrobiliśmy już znaczny krok naprzód, zrozumieliśmy tego nieodzowną potrzebę, daleko jednak jesteśmy od produktywizmu amerykańskiego i angielskiego, a odbiorczy, bierny, a nawet negatywny stosunek do życia społecznego jest jeszcze dominującą cechą naszego ogółu.

* * *

Spółeczeństwo polskie różni się od amerykańskiego, jak i angielskiego pod bardzo ważnym względem. Ono nie przeszło — jak

Anglija i Ameryka — przez okres intensywnego produktywizmu, kapitalistycznej ekspansji, która pogrzebała dawny ustrój stanowy. Wskutek swej nieszczęśliwej historii politycznej społeczeństwo polskie, jego struktura i psychika społeczno-gospodarcza, leżały poza obrębem głębokich przemian, jakim podlegały inne społeczeństwa współczesne w ciągu wieku XIX. Przez cały ten wiek rozkwitu kapitalizmu, Polska, podzielona pomiędzy trzy państwa, była ich ekonomiczną prowincją, bez samodzielnego życia ekonomicznego i bez aspiracji do ekonomicznej samodzielności i ekspansji. Podczas gdy Anglię i Amerykę, przenikały dążenia do ekonomicznej ekspansji, która dążenia młodzieży kierowała na drogi zdrowego realnego produktywizmu, młodzież polska wyżywała się w świecie wyobrażeń tylko, karmiła się literaturą i zaprawiała do konspiracyjnej walki politycznej.

Brak okresu intensywnego produktywizmu kapitalistycznego w naszych dziejach społeczno-gospodarczych czyni, że podczas gdy ten chłopiec Amerykanin — ażeby powrócić do naszej analogii — widzi swoją zasługę w tem co stworzył i co da się wymierzyć, chłopiec Polak „stawia się” jeszcze dzisiaj, że jego mamusia jest panią profesorową lub panią kapitanową, podczas gdy mamusia jego kolegi jest tylko sklepikarką. Konstruktywizmowi i produktywizmowi zawdzięcza społeczeństwo amerykańskie ten pozytywny rys, polegający na tem, że człowiek legitymuje się tem, co potrafi zrobić, a nie tem co ma, jak u nas — majątkiem, herbem, tytułem lub maturą. — Taka legitymacja produktywizmu jest niewątpliwie sprawiedliwsza, niż wszelkie inne.

Fakt, że jako społeczeństwo nie przeszliśmy okresu intensywnego produktywizmu, tłumaczy, dlaczego w społeczeństwie naszym tradycje stanowo-szlacheckie są jeszcze tak silne, a społeczeństwo tak mało zdemokratyzowane, w dodatku tego słowa znaczeniu. Produktywizm, czyli kapitalizm, zdemokratyzował Anglię i Amerykę. Kapitalizm przeobraził podstawę wartościowania ludzi. W społeczeństwie stanowym pochodzenie społeczne decydowało o wartości społecznej jednostki; w społeczeństwie kapitalistycznym, produktywizmem — produkcyjność. Produktywizm stworzył nową płaszczyznę oceny człowieka, płaszczyznę stanową. O powodzeniu, uznaniu i znaczeniu społecznym decydowało odąd nie rodowe pochodzenie, ani nawet stan majątkowy, lecz zdolność i umiejętność tworzenia dóbr ekonomicznych. Ci, którzy mieli mniej, którzy zaczynali bez wyjątku i bez wsparcia wpływowej rodziny, jak liczni milionerzy amerykańscy, stali się bohaterami produktywistycznego społeczeństwa amerykańskiego.

Spółeczeństwo polskie nie ma kultu dla bohaterstwa tego typu, dla tworzenia dóbr ekonomicznych nie posiada szacunku. Produktywizm jest jeszcze dotąd obcy naszej psychice narodowej, i w społeczeństwie naszym powszechna jest dotąd ocena człowieka według warstwy społecznej do jakiej należy, według tego ile może wydawać, a nie według tego, ile wytwarza. Pęd na posady urzędnicze jest wynikiem nie tylko zetetyzowania naszego życia gospodarczego, lecz wraz z nastawieniem szerokich mas społeczeństwa, wychowanego w kulcie dla klasy inteligencji, spadkobierczyń tradycyji szlacheckiej.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

K 1243/84/21

TREŚĆ:

JÓZEF CHAŁASIŃSKI
PRODUKTYWIZM
USPOŁECZNIONY
WŁADYSŁAW POBÓG-
MALINOWSKI
SPOD PYŁU
ZAPOMNIENIA
ROMAN KOŁONIECKI
WIERSZE
KOLUMNY
ARCHITEKTURY
ST. I B. BRUKALSCY
MIESZKANIA
LUDZI PRACY
ROMAN PIOTROWSKI
O BUDYNEK
SZKOLNY
ANKIETA
OGÓŁO
WARSZAWY
JANINA STRZELECKA
MŁODZIEŻ
I JEJ RYNEK
ARTYSTYCZNY
J. E. SKIWSKI
MORALIZATORZY
SPOD ZNAKU
ASZANTKI
RECENZJE,
SPRAWOZDANIA,
KRONIKA,
NOTATKI

kich, w których czynności ekonomicznie nieprodukcyjne, zajęcia intelektualne, są wyższe od fizycznych i ekonomicznie produkcyjnych. Tradycja ta wiąże szacunek i urok społeczny ludzi z możliwością wydawania pieniędzy i konsumowania dóbr, a nie z ich tworzeniem.

Zwracając uwagę na pozytywny wpływ produktywizmu, którego brak w dziejach porobiorowych Polski, nie chcę przez to zalecać „amerykanizacji” społeczeństwa polskiego. W amerykanizacji tej nie technika i nie produktywizm wydaje mi się jednak rzeczą szkodliwą, obojgą bowiem nieodzownie potrzebną, ale kapitalizm.

Produktywizm, który przekształcił społeczeństwa stanowe we współczesne społeczeństwa demokratyczne, był pewną stroną kapitalizmu; był to produktywizm kapitalistyczny i w tym jego charakterze widzę jego niebezpieczeństwo dla „duszy” ludzkiej. Nie „rozpętanie żądz tworzenia”, nie „ideal potęgi twórczej” stanowi „siedla produktywizmu”, ale podporządkowanie techniki i produktywizmu — żądz zysku.

Dążenia twórcze ludzi, wszystko jedno czy przejawiają się w postaci wynalazczości technicznej, czy w postaci nowych badań naukowych, teorii i idei, są dobroczynnymi siłami. Im zawdzięcza ludzkość cały swój dorobek cywilizacyjny i kulturalny.

Nie dążenia twórcze, nie konstruktywizm i nie produktywizm są winne deprawacji potrzeb współczesnego człowieka, ale kapitalizm. Kapitalizm bowiem, czyli ustrój społeczny oparty na zasadzie i dążeniu do zysku, uczynił z techniki narzędzie eksploatacji jednych ludzi przez innych, a produktywizm doprowadził do zwyrodnienia.

W ciągu trzech lat depresji ekonomicznej w Ameryce od 1929 do 1933, przy wielu milionach bezrobotnych, udoskonalenia techniczne zwiększyły wydajność robotnika na godzinę o 30%. Wskutek tego wielu robotników, którzy stracili pracę wobec kryzysu ekonomicznego, pozostało na stałe bezrobotnymi, z powodu technicznych ulepszeń. Czy technika temu winna? Nie technika, ale system społeczno-gospodarczy, w którym owoce technicznego postępu zbierają właściciele wielkich trustów przemysłowych, kopalni i banków, — a nie społeczeństwo.

Dominowanie interesów kapitału nie tylko eksploatuje w Ameryce wynalazczość ludzką, ale nadaje kierunek jej rozwojowi. Kapitał amerykański popiera te dziedziny wynalazczości, które zwiększają zyski, tępi inne, które grożą ich ograniczeniem. Elita kapitalistyczna przeciwstawia się więc wszelkiemu nowatorstwu społecznemu — wynalazczości społecznej — które dąży do zmian w społeczno-gospodarczej sytuacji robotnika. Bez względu na występowała więc przeciw związkom zawodowym i zwalczała ideę ubezpieczeń społecznych. Dominowanie interesów grup kapitalistycznych tłumaczy eksperymentatorstwo amerykańskie w zakresie techniki, a równocześnie wsteczność i konserwatywność społeczny. Ono także paraliżuje obecnie reformy społeczno-gospodarcze Prez. Roosevelta. Na wprowadzenie kodeksów pracy, skracających tydzień pracy, wielki przemysł odpowiedział wzmoczoną pracą laboratorjów technicznych, mającą na celu powetowanie zwiększonych kosztów przemysłu, przez zwiększoną wydajność maszyny i redukcję robotnika — czyli przez bezrobocie.

Kapitalizm, nie produktywizm zdesocjalizował produkcję, uniezależnił ją od potrzeb człowieka i podporządkował zyskowi. Kapitalizm uczynił produkcję rolną i przemysłową źródłem zysku — a nie funkcją społeczną, a uzależniając konsumpcję społeczeństwa od

rentowności, prowadzi do niszczenia rzekomej nadprodukcji, mimo zapotrzebowania milionów głodnych ludzi. Kapitalizm wreszcie wprowadza elementy handlowej kalkulacji do twórczości człowieka i eliminuje te formy twórczości i te kategorie twórców, którzy nie liczą się z wymaganiami rynku zbytu. Do katastrofalnych wprost rozmiarów eliminacja ta doszła w par excellence kapitalistycznym społeczeństwie amerykańskim. Nie technika i produktywizm, ale kapitalizm jest winien, że społeczeństwo amerykańskie popelnia grzechy przeciw człowiekowi, o który oskarża p. Suchodolski współczesną kulturę.

Kult pracy produkcyjnej, produktywizm, rozwinęła Ameryka do najwyższego poziomu. I kult ten, którego nam braknie, należy w naszym społeczeństwie rozwijać. Niech kult ten przeniknie do rodziny i gospodarstwa domowego, do warsztatu, do fabryk, do urzędów i do szkoły, a powetujemy szkodę, jaką nasza psychika narodowa poniosła przez to, że w dziejach naszych nie mieliśmy okresu intensywnego produktywizmu, przez jaki przeszła Ameryka i Anglja. W tym kierunku widzę zwrot w zmianach programów szkolnych, co należy podkreślić z całym uznaniem. Tego bowiem domaga się nasza rzeczywistość polska i nasza psychika społeczno-gospodarcza i polityczna spaczona przez okres niewoli.

Dążąc do rozwinięcia produktywizmu w społeczeństwie polskim, nie musimy i nie powinniśmy, rozwijać go jednak ze wszystkimi jego wadami, z jakimi historycznie występował w Anglii i w Ameryce. Choć historycznie związany z kapitalizmem, produktywizm nie musi być kapitalistyczny, i w okresie kiedy kapitalizm wszedł już w fazę kartelów, trustów i t. p., w której sam siebie likwiduje, miejsce produktywizmu kapitalistycznego musi zająć produktywizm uspołeczniony.

Produktywizm uspołeczniony podporządkowuje produkcję potrzebom społeczeństwa a nie zyskowi, i w warsztacie, fabryce, jak i gospodarstwie rolnem widzi urzędzenia spełniające funkcje społeczne, a nie własność prywatną, mającą swój sens ze względu na osobnika, który ją posiada i zysk jaki przynosi. Produktywizm uspołeczniony oznacza taką moralność wytwórczo-gospodarczą społeczeństwa, która robotnika, jak i pracodawcę czyni funkcjonariuszami społeczeństwa, w ich własnym poczuciu i w opinii publicznej. Ten typ produktywizmu usuwa, zdaje się, najważniejsze defekty wynalazczości technicznej i produktywizmu, na które słusznie zwraca uwagę p. Suchodolski.

Produktywizm społeczny wymaga przekształcenia całej moralności wytwórczej i psychiki społeczno-gospodarczej społeczeństwa i dlatego błędem byłoby utożsamiać go z upaństwowieniem środków produkcji. Upaństwowienie samo przez się nie zmienia jeszcze psychiki społeczno-gospodarczej i jego moralności wytwórczej. Przedsiębiorstwo państwowe oparte na zasadach kapitalistycznych może tak samo deprawować potrzeby człowieka, jak prywatne przedsiębiorstwo kapitalistyczne.

Rozwijanie produktywizmu uspołecznionego w społeczeństwie polskim jest rzeczą konieczną i powinno stać się podstawą programu wychowania państwowego. Pod kierunkiem silnego rządu, który potrzebę tę doskonale rozumie i przy współpracy milionów ludzi, którzy gotowi są oddać swą ideową pracę dla przebudowy społeczno-gospodarczej struktury, psychiki i moralności naszego społeczeństwa, Polska może stać się wzorem dla państw innych w realizacji sprawiedliwego, uspołecznionego ustroju gospodarczego.

ROMAN KOŁONIECKI

PEJZAŻ O LIRYCZNYM TLE

Wysokie gejzery sosen,
tryskają z wnętrza ziemi,
w górze wrzątkiem lipcowym wrą
i spadają iskierkami zielonemi.

Na białej linie szosy
huśta się wiatr i dom:
niby lekka zabawka dziecięca,
w niebo powoli leci.

Nad kominem dym się rozkręca,
jak spiralna sprężyna, —
drga rytmicznie nad tą łąką naprzeciw,
którą kosy tępy szczęk ugina.

Płynie zapach jak potok,
cały dom jest świeżym, wonnym stogiem,
co zeszedł z łąki nad drogę
i przystanął i zaprasza do snu.

Rozpostarty kopułą radosną,
koniczyny kropkami ocieka,
ciało wydrąża z ciała
i napełnia miękką tęsknotą.

Strumień woni wzbiera jak rzeka,
która, zanim sobą być przestała,
zamieniła się w bezbrzeżne morze,
sto zieleni kryjące na dnie.

Szukam w dali zgubionych twych spojrzeń,
czy z nich które na ten dom — na stóg wonny
niby mewa na falę nie spadnie,
na mnie — kiedyś jak fala bezbronny.

W CZASIE BURZY

Gałąź ognia prasnęła w żrenice.
Na gładkiej powierzchni ciszy
bąbel grzmotu wyskoczył.
Błyska się. Błyskawice.
Ostre światło przez przymknięte oczy.

Niebo w zenicie najwyższym
czerwonemi żyłami wszertz, wskos poprute —
gniewne oko, nabiegłe krwią.
Burza zieleń i błękit rozdziela żarzącym się drutem.
Bije grom.

Las po zboczach zbiegł aż w dolinę, kucnął pod ścianą,
wparł się w chatę omszonymi biodrami,
niby w śpiącą dziewczynę drewnianą, —
drapnie drewniane ciało kosmatemi, szorstkimi łapami, —
zmierzwionym łbem kostropatym pod dach się chyli.

Chata drży — zatrwożona, jak niespokojny przybysz;
dach trzeszczy, trzaska, trze się o wydęte policzki wiatru.
Deszcz, jak szary prądkowany kilim
zasłonił szyby,
przez które ty i ja tyle razy patrzyliśmy na Tatry.

ULICA MIMO

Jesteś punktem na mapie,
do którego serce moje prze jak ster,
do którego już nigdy nie trafię —
choćbym nawet sto razy, jak równik w podrózach,
przecinał śmierć.

Na granicy pragnień i spotkań
z wód pamięci w dali się wynurzasz,
niepokojąco jak wrak —
lecz daremnie cię ścigam, och! daremnie,
choć wiem, że ci przecież mnie brak, —
że ci pewnie źle jest beze mnie.

Może nie chcesz mieszkać w tych zwrotkach,
które do ran samobójczych przykładam,
jak gojący chleb z pajęczyną,
twym zagubionym śladem
sam w sahary arktyczne płynąc —
jakby ktoś tam darmo radość dał mi.

Nie ukradłem przyjaznego twego cienia,
by mnie zakrył bezpiecznie jak fala,
by na gwałt odpowiedział gwałtem:
dziś po piersiach każdy wieczór mi się tarza
kolanami — godzinami nawałnic
i dom gwiazd na czoło mi zwała.

Lecz ty żyjesz i zwyciężysz szal ten!
Żyjesz we mnie dytyrambem milczenia,
co zagłusza dziki zgiełk — cmentarza.

„CZERWONE TARCZE”

Nową powieść

z dziejów Polski XII w.

pióra Jarosława Iwaszkiewicza

zaczęta drukować od 15 marca

GAZETA POLSKA

WŁADYSŁAW POBÓG - MALINOWSKI

SPOD PYŁU ZAPOMNIENIA

I.

Po nieprawdopodobnej i fantastycznej w swych szczegółach ucieczce w dniu 14 maja 1901 r. ze szpitala Mikołaja Cudońców w Petersburgu udał się Piłsudski poprzez Tallinn i Rygę do Kijowa, gdzie nietylko odwiedził świeżo zorganizowaną drukarnię nielegalnego „Robotnika”, lecz także pomógł ówczesnym redaktorom — Perłowi i Prausowski — wykończyć pierwszy wychodzący tu numer tego pisma; po parodniowym pobycie wyjechał na Polesie, by tam w jednym z majątków spotkać się z żoną, na krótko przedtem wypuszczoną z więzienia za kacię. Stan zdrowia Piłsudskiego, wyczerpanego piętnastomiesięcznym pobyciem w więzieniu i długotrwałą, a męczącą symulacją choroby umysłowej, wymagał natychmiastowej i gruntownej kuracji, a o warunki odpowiednie tak trudno było na głuchym Polesiu; zresztą pobyt jego w granicach zaboru rosyjskiego, zwłaszcza w okresie najenergiczniejszych poszukiwań i zabiegów żandarmów, równoznaczny był musiał z igraniem z niebezpieczeństwem zbyt wielkim i wyraznym. To też — gdzieś w czerwcu 1901 r. — oboje Piłsudscy, w wyniku zabiegów Al. Sulkiwicza i przy najwydatniejszej pomocy J. Miklaszewskiego, dawniej — za czasów studenckich — członka organizacji P. P. S. w Petersburgu, podówczas zaś kontrolera lasów w ordynacji Zamoyskiej, przekroczyli nielegalnie i szczęśliwie kordon graniczny.

Stan zdrowia — jak zaznaczyłem już — pozostawał wiele do życzenia. W pierwszym swym liście ze Lwowa do Londynu (15.VII.1901) mówi Piłsudski o „osłabieniu fizycznym i duchowym” — „narazie tylko głupio się ze swoim zdrowiem czuję; wszystko mię męczy okrutnie, a nawet drobne wysiłki fizyczne i duchowe czynią ze mnie człowieka sklapanego. Słowem, licho wie, co się ze mną stało, maszyna się psować zaczyna. Może te idyotyczne góry, dokąd mnie doktor posyła, pomogą na ten interes”. W niewątpliwym związku z tym stanem rzeczy pozostaje myśl spędzenia lata w Szwajcarii, w okolicach Fryburga, gdzie stale podówczas przebywał Ignacy Mościcki — na jego właśnie pomoc, uczynność, przyjaźń liczył Piłsudski w planach swych o urządzeniu się na szwajcarskim letnisku. Ostatecznie jednak lato i jesień spędził w Zakopanem — zdecydował o tem, zdaje się, „stan kieszeni”; mogły mieć tu pozatem pewne znaczenie narady z żoną, lekarzem, przyjaciółmi.

Wypoczynek był wskazany tembardziej, że zaraz, od pierwszej chwili, tysiące spraw dawnych i nowych powylażyły z różnych kątów i narzucały się z nieodpartą aktualnością. Grupa emigrantów londyńskich, kierująca zasadniczymi sprawami partii, chciała widzieć Piłsudskiego u siebie jaknajprędzej, w organizacji krajowej nie wszystko było w porządku — wiele spraw wymagało rychłej i stanowczej ingerencji. Nie cofa się też Piłsudski przed robotą najtrudniejszą, naj-

bardziej odpowiedzialną i niebezpieczną. Odpowiadając na list londyński B. A. Jędrzejewskiego, który proponował osiedlenie się na stałe w Londynie i objęcie np. redakcji jednego z czasopism partyjnych, podkreśla Piłsudski „kardynalną” różnicę w planach na przyszłość najbliższą. „Nie chciałbym się trzymać Lond(yn)u, a mam zamiary więcej zgodne z moją krajową naturą, po prostu mówiąc — nic nie mam przeciwko temu, a dużo za, by kontynuować swą karierę”. „Centralny Komitet Robotniczy — stwierdza gdzieś — obecnie nie może podjąć porządnego swemu zadaniu i ma za mało aurytetytu wśród facetów. Potrzebnym zatem jest tam facet odpowiedni, a że ja z wielką przyjemnością myślę o oddychaniu powietrzem, do którego płuca moje są przyzwyczajone, więc wynik z tego jest dosyć prosty”... Dla ludzi, tak w życie partii wtajemniczonych, jak Jędrzejewski, jasnym było, że „ubóstwiany Ziuk” po siedmiu latach pracy, cichej, pełnej znojących trudów i nerwowych wysiłków, a przerwanej aresztowaniem i zamknięciem w cytadeli i szpitalu, znalazł się znów niebawem na stanowisku najbardziej odpowiedzialnym, w ciągłym niebezpieczeństwie ponownego aresztowania i zesłania na Sybir, wśród ustawicznych podstępów i zamachów ze strony policji i żandarmerii...

Przed ponownym jednak zstąpieniem w podziemia konspiracji trzeba było koniecznie odwiedzić Londyn, gdzie — jak zaznaczyłem już — krzyżowały się niemiędziej od krajowych nici organizacji partyjnej. W połowie listopada 1901 r. — po paromiesięcznym wypoczynku w Zakopanem, co wpłynęło dodatnio na stan zdrowia, po wymianie wielu listów, po wielu spotkaniach i rozmowach, co z kolei pozwoliło zorientować się w nowej, zmiennej sytuacji i należycie ją ocenić, — udaje się Piłsudski na Zachód — poprzez Katowice i Poznań, gdzie zatrzymuje się na parę dni i przygląda się robocie, prowadzonej tu przez partię wśród robotników. W Londynie powitano go w ostatnich dniach listopada; święta Bożego Narodzenia minęły w miejscowości nadmorskiej — w Sontbourne-on-Sea — w domku Stanisława Wojciechowskiego, który — ze względu na konieczność jakiegokolwiek zarobku — prowadził tu podówczas rosyjską drukarnię „tolstojowców”, rzucających stąd w świat zakazane w Rosji religijne i polityczne i społeczne utwory wielkiego pisarza.

Czteromiesięczny przeszło swój pobyt w Londynie wypełnił Piłsudski, jak zawsze i wszędzie, ciężką pracą. Niestety, niema tu miejsca na szczegółowsze jej omówienie. Z konieczności więc ograniczę się do najbardziej ogólnikowego stwierdzenia, że w niezwykłym natłoku spraw bieżących wysuwały się na czoło zagadnienia organizacyjne; konieczność reformy i reorganizacji stawała się dla wszystkich nietylko widoczną, ale i palącą. Trzeba było koniecznie wysłać do kraju „faceta odpowiedniego”. Wybór padł na Stanisława Wojciechowskiego — Piłsudski całe lato zamierzał spędzić jeszcze w Anglii, w Sontbourne-on-Sea. Wojciechowski jednak — po jakimś czasie — ze względu na chorobę żony — na bezwzględny wyjazd do kraju zgodzić się nie mógł. Ciężki i niebezpieczny ten obowiązek wziął wobec tego na siebie Piłsudski — w pierwszej połowie kwietnia opuścił on prawie nagle Londyn, udając się poprzez Niemcy, Lwów i Kraków do zaboru rosyjskiego.

Lingwood — małą jednopiętrową kamieniczkę na dalekim, północnozachodnim przedmieściu Londynu — Leytonstone, przy ul. Colworth Road nr. 67, gdzie w małym pokoiku mieściły się zecernia, skład wydawnictw, archiwum i sekretariat zagraniczny P. P. S. i gdzie skupiało się życie paru młodych emigrantów, życie w nieprawdopodobnej nędzy, zmuszającej przyszłych profesorów, ministrów i prezydentów do opędzania potrzeb kilkunastu szylingami na tydzień, do szukania źródeł utrzymania w zecerze

np. lub w „fabrykacji” kefiru — mały ten domek słusznie nazwać możemy siedzibą przedwojennej ambasady polskiej na Zachodzie. Oczywiście, w czasach, kiedy socjalizm walczył dopiero o prawo obywatelstwa dla siebie, kiedy w obrubymiej części Europy tępiący był i prześladowany z całą bezwzględnością, gdy w Niemczech grały jeszcze echa wyjątkowych praw Bismarcka, gdy Francja — pod naciskiem rządu petersburskiego — wydalala ze swych granic socjalistów polskich za ich dążenia społeczne i niepodległościowe, gdy wreszcie w Rosji przynależność do tego ruchu pociągała za sobą karę długoterminowego więzienia czy zesłania do miejsc najbardziej oddalonych, — w takim okresie „ambasada” polska w Londynie nie miała oczywiście i mieć nie mogła żadnych stosunków ze światem oficjalnym. Bo istotnie — trudno byłoby o kontrast większy, silniejszy, bardziej jaskrawy i rażący — zarozumiały, pewny siebie dygnitarz, wytworny dyplomata w nieskazitelnym fraku i — nędzary polski z Lingwoodu; generałowie, gwardziści, radcowie tajni i zwykli, mile widziani i witani na dworze i w najwyższych sferach — i jakiś rewolucyjny „Wiktor”, „Edmund” czy „Witold”, prześladowany, tropiony, ścigany przez wszystkich żandarmerii i policjantów świata; wielka, realna siła, elementy, jakimi dysponuje państwo nowoczesne, w postaci milionów bagnatów, tysięcy armat, setek pancerników — i niesamowite wizje, pozbawione wszelkich „realnych” podstaw i „realnych” przesłanek!... Dwa to zresztą światy, zasadniczo odmienne, biegunowo sobie przeciwne — świat gasnący, skazany na zagładę, i świat rodzący się i pewnie sięgający ręką po przyszłość... Tam zresztą, gdzie jest mowa o walce, tam trzeba wyrzec się myśli o jakichkolwiek stosunkach — realnej sile bagnatów można przeciwstawić tylko potęgę hasel, zdolnych podbić serca i umysły.

Ukrytymi tedy korytarzami, odludniami podówczas ścieżkami bić mogła praca „ambasady” polskiej w Londynie. Gdy podziemna Warszawa wyciągała przyjazną dłoń do podziemnej Moskwy i Petersburga, czerwony polski Lingwood szukał porozumienia z czerwonym Paryżem, Berlinem, Wiedniem, Rzymem, Brukselą i Genewą. Dość przypomnieć tu szczególnie międzynarodowego kongresu socjalistycznego w Londynie w r. 1896, na którym postawiono rezolucję w sprawie niepodległości Polski; dość wymienić Mille-randa, Jaurès’a, Avelinga, Manna, Liebknechta, Mottelera, Bertranda, Labriolę, Axelroda, Ławrowa, szeroko znanych socjalistów świata, którzy w odpowiedzi na prośbę „ambasady” pośpieszyli w tymże roku z szeregiem artykułów, zawierających wyrazy gorącej sympatii dla dążeń polskich. Oczywiście — przykład to jeden z wielu. Świadomy wysiłek doprowadzał zawsze do konkretnych rezultatów. Nie zawsze jednak myślano o korzyściach bezpośrednich dla siebie. Przeciwnie — z równą łatwością mógłbym przytoczyć tutaj mnóstwo przykładów, mówiących o pomocy, jakiej udzielano rewolucjonistom innych narodowości. Z natury rzeczy, najczęściej zdarzało się to w stosunkach z Rosjanami. Ruch polski, jako starszy nieco i lepiej zorganizowany, brał na siebie niejednokrotnie zadania tak ciężkie i skomplikowane, jak sprowadzanie z zagranicy do kraju maszyn drukarskich mimiografów, czcionek, farby, wreszcie — wydawnictw nielegalnych w niewiarogodnych ilościach.

Tak tedy sferą działania „ambasady” polskiej, będącej ekspozyturą rewolucyjnego ruchu polskiego, była sfera gromadzenia się tej energii potencjalnej, która tak niedawno, pozornie — nagle i niespodzianie, przełamawszy wszystkie przeszkody, wypełniła bezprzykładnym w dziejach ruchem znaczną część świata... Pamiętamy przecież, jak świat ten przewracał się do góry nogami: zarozumiały, pewny siebie dygnitarz, wytworny dyplomata w nieskazitelnym fraku, radca tajny i zwykły odchodził precz, usuwał się w cień; na opróżnione przez niego miejsce wkraczał człowiek nowy, wychodził z pod-

ziemi, z mroków konspiracji tajemniczy, jednostkom tylko — nie masom — znany rewolucjonista, właśnie „Wiktor”, „Edmund”, „Witold”. Moment jego ukazania się — to moment zwycięstwa ducha podziemnej konspiracji, ducha wielkiego protestu przeciwko istniejącemu stanowi rzeczy, ducha, który w ciągu trzydziestu lat rozlewał się falą coraz szerszą, obejmował płomiennymi ramionami masy coraz większe, wżerał się w serca coraz głębiej, krystalizując się ostatecznie, jeśli o Polskę chodzi, w wielkim nazwisku Piłsudskiego.

* * *

W tym samym czasie, kiedy Józef Piłsudski w skromnym, jednoosobnym pokoiku na Lingwoodzie zastanawiał się nad najodpowiedniejszą formą reorganizacji życia partyjnego, pod gościnnym niebem Szwajcarii szukał dla siebie bezpiecznego schronienia młody, dwudziestopięcioletni rewolucjonista rosyjski, Eugeniusz Zielenkij, znany bardziej pod przybranym nazwiskiem L. Nadieżdina. Związany ideowo z grupą Lenina, za działalność rewolucyjną nad Wolgą skazany został na trzy lata zesłania do gubernji wołódzkiej. Znalazszy się jednak jako emigrant w Genewie, nie zechciał się pogodzić z szeregiem kwestyj taktycznych, reprezentowanych przez ludzi, skupionych dookoła założonej przez Lenina „Iskry”. Rzutki, przedsiębiorczy, w dodatku nieprzeciętny publicysta, założył zaraz potem „rewolucyjno-socjalistyczną” grupę, „Swoboda”, stojącą programowo między socjalnymi demokratami a socjalistami rewolucjonistami rosyjskimi. W piśmie o tejże nazwie („Swoboda” — żurnal dla raboczych) dał wyraz swoim (także terrorystycznym) przekonaniom, narazając się na ostre ataki Lenina*). „Swoboda” zresztą nie cieszyła się żywotem zbyt długim — zdołano wydać zaledwie dwa jej zeszyty, trzeci zapowiedziany — o ile wiem — nie ukazał się wcale. Przestała istnieć jednocześnie i partja o tejże nazwie.

Od tego tedy Nadieżdina „ambasada” polska w Londynie w dniu 10 grudnia 1901 r. otrzymała prośbę listowną: „Camarades! nous nous permettons de Vous solliciter en camarade un service. Dans le prochain numéro de la revue pour les ouvriers „Swoboda” qui va paraître, nous voudrions bien donner à nos lecteurs un petit article à propos de l'arbitraire tsariste en Pologne et de la tyrannie du gouvernement du tsar non seulement à l'égard du prolétariat polonais, mais surtout à l'égard de tous les polonais, à l'égard de la nation polonaise toute entière. Nous voudrions que dans cet article soient réunis les crimes de l'arbitraire

*) Zob. Lenin, „Soczinienija”, tom IV, 1931, Institut Lenina pri C. K. W. K. P. (b), str. 488 — 489 i 493 — 496.



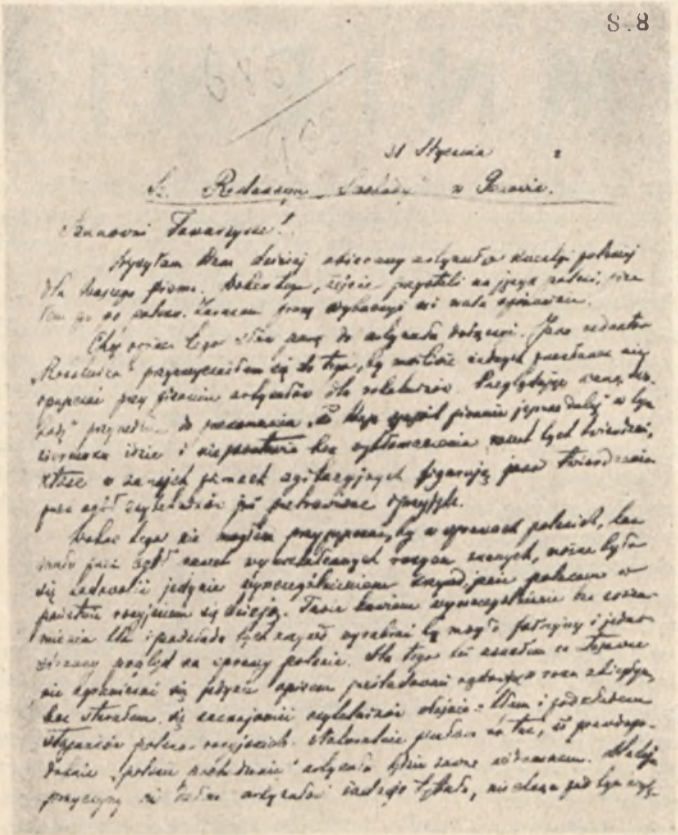
Lingwood

Od frontu

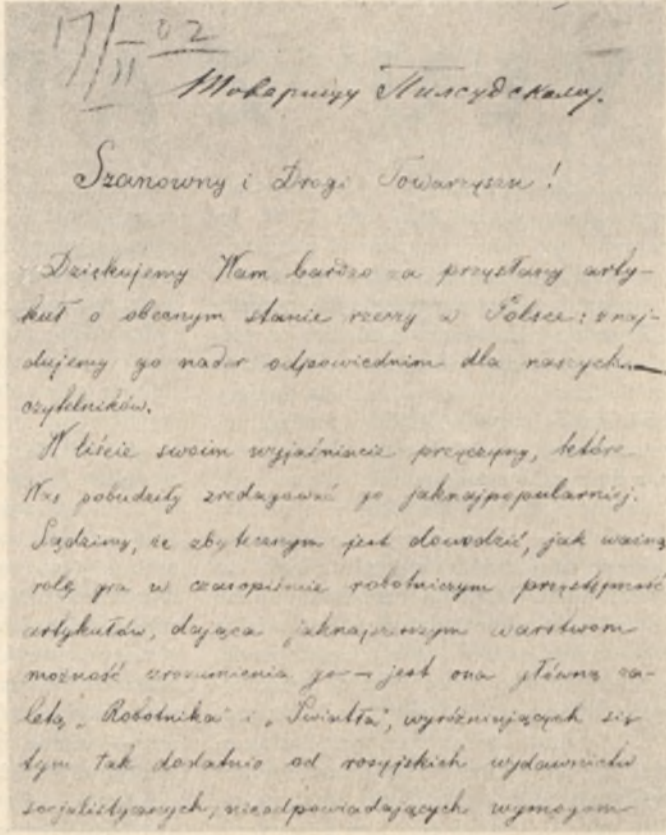


Lingwood

Od podwórza na lewo u góry, okno pokoju w którym mieszkał J. Piłsudski po ucieczce z Petersburga



List Józefa Piłsudskiego do redaktora „Swobody” Nadieżdina



List redaktora Nadieżdina do Józefa Piłsudskiego

tsariste pendant cette année, et que ces faits disent encore plus éloquentement que les mots. Il nous semble que Vous à qui la Pologne est si bien connue et qui sentez si vivement toutes les manifestations de la tyrannie, si minimes qu'elles soient pourriez donner un article pareil dans la forme beaucoup plus expressive, beaucoup plus complète que nous qui sentons pour la Pologne la plus profonde sympathie, mais qui sommes étrangers à ce pays. Nous espérons que Vous ne refuserez pas de nous rendre ce service et nous Vous remercions d'avance. Quant à la langue — ça dépend uniquement de Vous — écrire en polonais, en français ou en russe... Salut fraternel. La Rédaction de „Swoboda”.

Londyn oczywiście nie mógł i nie chciał pominąć nadarzającej się sposobności, ukazania się takiego artykułu w nielegalnej prasie rosyjskiej mieć musiało swoje znaczenie i mieć mogło swoje dodatnie skutki. Napisanie artykułu podjął się Józef Piłsudski. Na prośbę „Swobody” odpowiedziano listowną zgodą, w kilka dni później otrzymano z Genewy krótkie podziękowanie wraz z grzecznie wyrażonym życzeniem, by artykuł wpłynął do redakcji w ciągu 2 — 3 tygodni najbliższych. W dniu 31 stycznia 1902 r. Piłsudski pisał już do „Sz. Redakcji „Swobody” w Genewie”: „Szanowni Towarzysze! Wysyłam Wam dzisiaj obiecany artykuł o kwestji polskiej do Waszego pisma. Wobec tego, żeście przystali na język polski, pisałem go po polsku. Zarazem proszę wybaczyć mi małe opóźnienie. Chcę oprócz tego słów parę do artykułu dołączyć. Jako redaktor „Robotnika”, przyzwyczaiłem się do tego, by możliwie żadnych przesłańek nie opuszczać przy pisaniu artykułów dla robotników. Przeglądając Waszą „Swobodę”, przyszedłem do przekonania, że Wasz sposób pisania jeszcze dalej w tym kierunku idzie i nie pozostawia bez wytłumaczenia nawet tych twierdzeń, które w naszych pismach agitacyjnych figurują jako twierdzenia, przez ogół czytelników już przetrawione i przyjęte. Wobec tego nie mogłem przypuszczać, by w sprawach polskich tak mało przez ogół nawet wykształconych Rosjan znanych, można było się zadowolili jedynie wyszczególnieniem krzywd, jakie Polakom w państwie rosyjskiem się dzieją. Takie bowiem wyszczególnienie bez zrozumienia tła i podkładu tych krzywd wyrażać by mogło fałszywy i jednostronny pogląd na sprawy polskie. Dlatego też uznałem za stosowne nie ograniczać się jedynie opisem prześladowań rządowych w roku ubiegłym, lecz starałem się zaznaczyć czytelnikom właśnie z tłem i podkładem stosunków polsko-rosyjskich. Naturalnie, pisałem to tak, że prawdopodobnie „polskie pochodzenie” artykułu będzie zawsze widocznym. Dla teje przyczyny nie dałem artykułowi żadnego tytułu, nie chcąc pod tym względem krępować Redakcji, która może i w tytule zechce zaznaczyć, że artykuł ten czy list pochodzi od Polaków.

Zatem przyjmijcie, Towarzysze, serdeczne uściśnienie dłoni i życzenie powodzenia w Waszej pracy. — Józef Piłsudski”.

Uprzejmość Rosjan posunięta była tak daleko, że odpowiedź na powyższy list Piłsudskiego przesłano w języku polskim. Miernota, co prawda, polszczyzna; tem lepiej jednak świadczy to o uprzejmości. List pisał ktoś nieznamy mi zupełnie. Redaktor Nadieżdina ograniczył się do rosyjskiego podpisu. Ktoś trzeci — może Nadieżdina — na górnym marginesie pierwszej strony dodał po rosyjsku: *Товарищ Пи́лсудский*. W odpowiedzi tej — po kilku słowach podziękowania, po stwierdzeniu, że artykuł jest „nader odpowiedni”, po paru wreszcie uwagach o zaletach przystępnej formy artykułów tego rodzaju, Nadieżdina wypowiada „dwie myśli, które się nasuwały” mu przy czytaniu artykułu: „Szanowny Towarzysze! Znacząca, że demonstracje rozpoczęły się w Polsce głośną warszawską demonstracją 1898 r. Niezupełnie rozumiemy, dlaczego nie zaznaczyliście manifestacji łódzkiej 1892 r. zakończonej zwierzęcą rozprawą rządu z robotnikami, a także tego charakterystycznego objawu, że demonstracje majowe w Polsce rozpoczęły się wkrótce po postanowieniu międzynarodowego kongresu 1889 r. świętować dzień 1-go maja, jako święto robotnika. Prosimy o łaskawe zawiadomienie nas, czy zgadzacie się charakterystyczne te fakty dodać do tekstu, czy też mamy takowe umieścić w przypisku Redakcji? Dając ogólny zarys prasowej działalności socjalistów polskich, mieliście na myśli wyłącznie wydawnictwa P. P. S., a pomiędzy jej organami wyliczyliście jedynie „Robotnika”. Nam zaś wydaje się bardzo ciekawym i ważnym dla czytelników naszych: primo — zaznaczenie egzystencji innych organów P. P. S.: „Górnika”, „Łódzianina”, „Białostoczanina”, „Radomianina”, „Kurjerka Ostrowieckiego”, a także organów przyłączonej do P. P. S. polskiej frakcji „Socjal-demokracji Litewskiej”, secundo zaś wyliczenie wydań „S. D. Polski i Litwy” i „Proletariatu”, zarówno perjodycznych, jak i ulotnych. Jesteśmy tego zdania, że w danym wypadku silniej zarysowałyby się potęga partji socjalistycznych w Polsce, bez względu na podział ich... Do artykułu Waszego dołączamy przypisek Redakcji, w którym zaznaczamy oburzające postępowanie carskiego rządu, prześladowającego w imię narodu rosyjskiego narodowość polską, i objaśniamy czytelnikowi prawo narodu do samorządu i prawo do walki za niepodległość...”

Objeckje, wątpliwości, ostrożne zastrzeżenia i życzenia „Swobody” wywołały dość ka-

tegoryczne wyjaśnienie Piłsudskiego. W liście z 20 lutego 1902 r. stwierdza, że chodziło mu głównie o tło życia polskiego, i dlatego właśnie nie chciał poświęcać więcej miejsca szczegółom, o omówieniu których pomyśli się w przyszłości: „Pominałem święto majowe, jak również manifestację łódzką, tak samo, jak pominałem, ważniejszy fakt z historii naszego ruchu — partję „Proletariat” i proces, zakończony powieszeniem 4 towarzyszy. Zrobiłem zaś to dlatego, że chodziło mi w tym wypadku jedynie o krótkie scharakteryzowanie o b e c n e g o ruchu rewolucyjnego w Polsce. Dla scharakteryzowania zaś wybrałem to, co jest najjaskrawszem i najsilniejszem, to jest naszą partję, jej organ krajowy i manifestacje, które tak różnią się radykałnie od manifestacji łódzkiej. Jestem przekonany, że stosunki moje z Szanowną Redakcją nie skończą się na tym jednym artykule i przypuszczam właśnie, że następny traktowałby o ruchu socjalistycznym, dla którego (artykułu) poprzedni artykuł stanowiłby podstawę, tak, że nie potrzebowałbym go przedawadymać szczegółami i tłumaczeniami, tak koniecznymi dla zrozumienia naszego ruchu. Dlatego też sądzę, że najlepiej jest nie opatrywać mego artykułu żadnymi notkami redakcyjnymi. Specjalnie zaś zastrzegam się przeciwko drugiej, wyliczającej rozmaite próby rozbicia naszego ruchu socjalistycznego na odrębne grupy i obozy. Jeżeliście się zwrócili do nas po informacje i artykuły do Waszego pisma, musicie, że się tak wyrażę, ponosić i konsekwencje tego, to jest zgodzić się na traktowanie ruchu socjalistycznego w Polsce z naszego punktu widzenia, który, jak Wam zapewne wiadomo nie od dziś, jest nieprzejednanym, jak w sprawie politycznego programu, tak w sprawie jedności partyjnej. Pozwólcie więc, bym w przyszłym artykule o ruchu socjalistycznym w Polsce odpowiednio oświetlił i pracę socjalistyczną. Natomiast serdecznie dziękuję za obiecany przypisek redakcyjny, mający „objaśnić czytelnikom prawo narodu do samorządu (?) i prawo do walki o niepodległość”. Znak zapytania przy słowie „samorządu” oznacza, że nie wiem, w jakim znaczeniu używacie tego słowa...”

W odpowiedzi swej „drogiemu towarzyszowi Piłsudskiemu” z pierwszych dni kwietnia, przesłałem wraz z odbliską szcztokową artykułu, — stwierdzał Nadieżdina: „W celach jaknajwiększej popularyzacji porobiłiśmy w artykule Waszym niewielkie zmiany stylistyczne, lecz nie zmieniła się przez to ani myśl, ani odcień tkawej”. Zaraz potem idzie przydługie „wyjaśnienie”, dlaczego uznano za stosowne wykreślić „część” artykułu, omawiają-

zachowanie się rosyjskich postępowych działaczy względem polskich dążeń do niepodległości”. Otóż „zasadą naszą jest wypowiedzieć wszystkie nasze desiderata i żądania otwarcie i jasno, bez jakichkolwiek zatuszowań i zaciemnień. Możecie się o tem przekonać z naszego artykułu „Palaczy nad nacjonalistami”, w którym agitujemy za niepodległością Polski. Lecz jednocześnie uważamy za konieczne dla sprawy przeprowadzać poglądy nasze, przytrzymując się takiego systemu dowodzeń, które dają potrzebne wyobrażenia o przedmiocie, a zarazem nie dotyka bez potrzeby poglądów przeciwnych, i nie wprowadza w ten sposób zamęt w głowie nieświadomego czytelnika (d o d a n o p o r o s y j s k u: nie putają imi i bież towo nie ustanowiwszychsia mniemij czytatele). W danym wypadku dowodzenie sprawiedliwości dążeń polskich do niepodległości i pobudzenie robotników naszych do podtrzymania tych dążeń — uważamy za nader ważne; lecz wykazywać przytem, że ną nawet socjaliści, stawiający kwestję tę w odmiennym, nie bardzo pochlebnie o nich mówiącym, świetle (d o d a n o p o r o s y j s k u: nie osobienno rickomiendujszczem ich oswieszczeniu) — uważamy za mogące wnieść pewien rozgardzaj w umysły nieświadomych czytelników; kwestję tę można przedstawić naszym robotnikom albo opracowaną gruntownie i drobiazgowo, lub też zupełnie jej nie poruszać. Dlategośmy opuścili odpowiednią część naszego artykułu i na jej miejsce wstawili kilka słów swoich (d o d a n o p o r o s y j s k u, c z ę ś c i o w o p o p o l s k u: „Ob etom rawnoduszii” kończąc słowami: „tolko w osoboj obstajatielnoj statje”). Sądzę, że Towarzysz zgodzi się w zupełności z mojami motywami, zależnymi od układu naszej auditorji. Jeżeli zaś z jakiegokolwiek bądź względu nie zaaprobujecie wstawionego przez nas zdania, to go, naturalnie, przekreślić i zastąpić tem, co będziecie uważali za stosowniejsze”.

Na załączonej do tego „wyjaśnienia” odblisce szcztokowej artykułu zrobił Piłsudski kilka poprawek i szczegółowo je omówił w odpowiedzi swej z 8 kwietnia. Zajmiemy się temi poprawkami niebawem, gdy przejdziemy do tekstu artykułu. Narazie zacytujmy z ostatniego listu krótką uwagę o charakterze ogólnym: „W swoim artykule — pisze Piłsudski — pomiędzy innymi starałem się przeprowadzić tę myśl, że rząd rosyjski w swej polityce względem kresów opiera się na interesach pewnej części swego społeczeństwa i w tem znajduje siłę nie tylko do uciskania tych kresów, ale i do wzmocnienia władzy absolutnej u siebie w domu. Przy Waszej przeróbce ta właśnie myśl znikła zupełnie i rząd rosyjski został zawieszonym w powietrzu bez żadnego oparcia, jak jakaś rzecz sama w sobie, od swego społeczeństwa oderwana. Nie jest to naukowe przedstawienie kwestji, a w pewnej mierze i nie agitacyjne, bo przeciw robotnicy powinni wiedzieć, że jeśli chcą z rusyfikacją walczyć, jeżeli chcą uderzyć w tę żywo obecnie drgającą strunę życia społecznego, to będą mieli do czynienia z pewnym prądem społecznym w Rosji, a nie z czynownikiem tylko. Ważne to jest z tego względu, że czyni gruntowniejszą krytykę proletariusza własnego społeczeństwa, a mniej podatnym umysł robotnika do szowinistycznych wpływów”.

Tyle pozostało śladów współpracy z „ambasadą” polską człowieka, który od trzdziestu prawie lat spogląda na nas z tamtego już brzegu. Zacytowane wyżej listy znalazłem dwa lata temu przy porządkowaniu archiwów P. P. S. — listy Nadieżdina w oryginałach, listy Piłsudskiego w odbliskach kopjowanych. „Swobody” z artykułem Piłsudskiego nie znalazłem w Polsce — niema jej w bibliotekach polskich. Kilka miesięcy temu, w czasie pobytu w Moskwie i wogóle w Rosji, zdołałem zorientować się w charakterze i kierunku tamtejszych, nie zdążyłem jednak dotrzeć do źródła. Po powrocie do kraju — zwróciłem się do Moskwy z prośbą listowną. Dzięki pomocy pana Ambasadora Łukasiewicza tudzież dzięki niezwyklej uprzejmości pana W. Niewskiego, wybitnego historyka rosyjskiego ruchu rewolucyjnego i dyrektora Biblioteki Publicznej im. Lenina w Moskwie — otrzymałem wszystko, czego bezskutecznie poszukiwałem w Polsce.

Artykuł Piłsudskiego p. t. „Samowładczy gospodarze Polski” (Samodierżawnje choziajewa Polski), umieszczony na str. 79—90 nr. 2 „Swobody”, przytoczę w dalszym ciągu swego szkicu w następnym numerze „Pionu”.

OD ADMINISTRACJI

UPRASZAMY PP. PRENUMERATORÓW O SZYBKIE UREGULOWANIE ZALEGŁEJ PRENUMERATY I WPLACENIE BIEŻ. ZAZNACZAMY, ŻE KWARTAL 1-SZY SKOŃCZYŁ SIĘ Z DNIEM 1-GO LUTEGO R. B. I OD TEJ DATY LICZY SIĘ NASTĘPNY OKRES KWARTALNY, NA KTÓRY WPLATY PRZYJMUJE ADMINISTRACJA „PIONU” BEZPOSREDNIO LUB PRZEZ P. K. O. KONTO 18.590.

Nie na ciarna, godzime, niedry, lecz na jasna, godzime, dobrobytu składam swoje oncedności w P.K.O.

JANINA STRZELECKA

MŁODZIEŻ I JEJ RYNEK ARTYSTYCZNY

Sprawa zaspakajania potrzeb artystycznych, a w związku z tem potrzeb rozrywkowych i wrażeń dzieci i młodzieży staje się coraz bardziej palącym zagadnieniem.

Niezwykle zamilowanie młodzieży do wszelkich widowisk sportowych jest potwierdzeniem tego, że natura ludzka od lat najwcześniejszych pożąda wrażeń. Ale wzruszenia na temat jedynie sprawności fizycznej nie wystarczają. Najwyższy więc czas pomyśleć o stworzeniu takich źródeł, które dawałyby wrażenia najczystsze, które dawałyby strawę wrażliwości dziecka jakości najprzedniejszej.

Tymczasem dzieje się wręcz odwrotnie. Poza stadionem, na którym obserwujemy nieestetycznie coraz bardziej mnożące się dowody brutalności i zdziczenia ze strony młodych widzów, zaspakajają ową potrzebę emocji kino.

Jak wykazały ostatnio badania, dokonane w Niemczech, Ameryce i w Sowietach nad młodzieżą, uczęszczającą tłumnie do kina, jest ono w tej formie, w której istnieje, czynnikiem, poniekąd destrukcyjnym i demoralizującym. Na podstawie statystyki, przeprowadzonej w jednym z tych krajów, stwierdzono, że pokazy filmowe wywołują w młodzieży niezdrową pobudliwość i przyczyniają się w wybitnym stopniu do rozwoju cech ujemnych. Poza tem obrazy filmowe wpływają bardzo szkodliwie na system nerwowy młodocianych widzów.

Jednocześnie kino, nawet jeżeli mowa o obrazach o wysokim poziomie artystycznym, wybitnie obniża poczucie smaku estetycznego, wulgaryzuje zamilowania artystyczne dzieci. Tłumaczy się to tem, że dzieci nie są w stanie ogarnąć całości, ale zwracają uwagę na szczegóły i to na te właśnie, które są dla ich rozwoju pojęciowego najbardziej dostępne. Potwierdza ten fakt ankieta przeprowadzona wśród dzieci w New-Yorku. Na pytanie: „jaki obraz i dlaczego podobał się najwięcej?” odpowiedzi brzmiały: „podał się nam dlatego, ponieważ tam tyle bójk” — chodziło o słynny i wysoce artystyczny obraz: „Złodziej z Bagdadu”. Ale przede wszystkim film dzisiejszy wywiera na młodzież wpływ niepożądany, ponieważ fałszuje perspektywę życiową. Wywołuje tani, powierzchowny optymizm i bezkrytyczną wiarę w odwieczne happy end. Pobudza w wysoce szkodliwy, wręcz chorobliwy sposób jej wyobraźnię, koncentruje uwagę na efektach kultury materialnej, potęguje wiarę w rolę szczęśliwego zbiegu okoliczności i w rolę deus ex machina, w postaci spadających z nieba milionów, czy opatrnościowych ludzi. Filmy, które młodzież wolno oglądać, są przeważnie bezproblemowe pod względem treści, bezwartościowe pod względem artystycznym.

Można twierdzić z całą pewnością, że ankieta, przeprowadzona u nas, dalaby bardzo podobne, jeżeli nawet nie identyczne rezultaty.

Zwrócenie baczonej uwagi na kino jako czynnik, pod względem wychowawczym szkodliwy i podjęcie pracy nad stworzeniem kina specjalnie dla dzieci i młodzieży, staje się postulatem wagi pierwszorzędnej.

Drugim skolei źródłem zaspakajania wrodzonej potrzeby wrażeń jest teatr.

W większości społeczeństw zachodnioeuropejskich, ale szczególnie w państwie Sowietów, utrwalił się pogląd, że sztuka winna stać się pierwiastkiem składowym w całości kształcie nauki szkolnej. Pogląd ten realizuje się przede wszystkim w formie tworzenia teatrów dla dzieci i dla młodzieży. Teatr staje się powoli jedną z najważniejszych pomocy szkolnych, jednoczącą w sobie całości kształt wychowania artystycznego, etycznego i kulturalnego, ogarnia bowiem cały wrażliwy aparat widza, oddziałyując przy pomocy słowa, dźwięku, ruchu, rytmu, światła i barwy, stając się niezawodnym środkiem w wywoływaniu takich nastawień psychicz-

nych, które przy stałym ich powtarzaniu ułatwiają niepomniernie pracę wychowawczą pedagogiczną.

Do dnia dzisiejszego jednak teatr, podobnie jak kino, to coś przypadkowego. W tej formie, w jakiej istnieje, prowadzony przez różnych przedsiębiorców, jest zaprzeczeniem najelementarniejszych wymagań pedagogicznych i estetycznych — jest rozsądnikiem upodobania do tandety artystycznej w najgorszym tego słowa znaczeniu, deprawuje uczucia artystyczne dzieci, zabijając powoli upodobania do teatru, jako do sztuki poważnej.

Uczęszczanie dzieci do teatru nie podlega żadnej regulacji, żadnemu systemowi, nie ma planowego charakteru, choć teatr to bardzo ważne ogniwo w systemie zajęć pozaszkolnych, z którym winna się wiązać szkoła jaknajściślej.

Tembardziej bije wprost w oczy znaczenie teatru, jeżeli zważymy zmianę wartości wychowawczych, zarówno w szkole jak i w rodzinie, i dlatego najwyższy czas zdać sobie sprawę ze znaczenia teatru, jako niezmiernie ważnego elementu w budowie innych wartości etycznych i artystycznych. Tak pojęty teatr — to jedyna droga do odrodzenia sztuki scenicznej. Publiczność, która od wieku szkolnego przejdzie przez umiejętnie prowadzony teatr, będzie chodziła do niego później z wrodzonej, jaknajciśniej potrzebą.

Jeżeli chodzi o młodzież to, naskutek specyficzności, skostniałego podejścia do jej potrzeb teatralnych, i tu sprawa przedstawia się całkiem smutnie. Utał się bowiem pogląd, że młodzież od klasy czwartej, czy piątej winna chodzić do teatru, ale na ten tylko teatr, który jest wyszczególnione w programie literatury i w lekturze szkolnej.

Notabene owe sztuki wystawiane są niezmiernie rzadko, w minimalnej ilości, przeważnie na specjalnych popołudniowych przedstawieniach, poprzedzanych nudnym przemówieniem, czy słowem wstępem.

Narzuca się młodzieży teatr jako obowiązek, jako dalszy ciąg szkoły, a nie jako źródło przyjemności, rozkoszy artystycznej. Przykłada się swoistą miarę do jej zainteresowań. To, na co my już patrzeć nie możemy, to, co nas już dziś śmiertelnie nudzi, to polecamy młodzieży do podziwiania.

W tym teatrze, „dozwołonym” dla młodzieży, straszy umarłym dniem wczorajszym, przebrzmiałymi hasłami, problemami i t. d.

Nie mówię oczywiście o sztukach z wielkiego repertuaru, te będą nieśmiertelne i wiecznie aktualne, ale nikt dotąd nie zdobył się na jakiś choćby luźno tylko powiązany cykl przedstawień z tego repertuaru. Wszystko na tym odcinku jest przygodne, dorywcze, bezplanowe. A potem biadania, że „publiczność nie dorosła do wielkiej sztuki”. Ano nie dorosła, bo nie rosła ani w kulcie, ani nawet jakiej takiej znajomości arcydzieł scenicznych.

A wogóle młodzież może i powinna chodzić do teatru nie tylko na to, co jest zalecone w lekturze szkolnej.

Może chodzić na każdą artystycznie wystawioną sztukę. Tak, jak my niegdys chodziliśmy z pasją do teatru. Na wszystko. Dopóki nie ma swojego teatru, niechajże się uczy kochać teatr wszędzie, gdzie się tylko nadarzy okazja. Powinno się stanowczo sprzedawać najtańsze bilety na legitymacje uczniowskie, o ile możliwości ułatwić młodzieży uczęszczanie do teatru.

W oczekiwaniu na lepsze czasy, odwyknie ona od teatru zupełnie i kto wie, czy do niego powróci.

Wychowana w zamilowaniu do kina i do stadionu, może będzie umiała obywać się bez teatru zupełnie.

Wracając do sprawy specjalnego teatru

dla dzieci i młodzieży, niepodobna nie wspomnieć, jak sprawa ta wygląda w państwie Sowietów. Nasi wschodni sąsiedzi rozbudowali na wielką skalę sieć kin, teatrów dla młodzieży. Ilość teatrów dochodzi tam dziś do 170 w ciągu jednego tylko roku zorganizowano tam: 1) specjalny „Artystyczny balet dla dzieci”, 2) państwową wytwórną dziecięcej zabawki muzycznej, 3) opracowano specjalne programy koncertów dla dzieci i młodzieży, 4) zorganizowano ponad 50 koncertów ruchomych z udziałem najsłynniejszych muzyków, 5) ogłoszono około paruset konkursów, powołano komisje, złożone z wybitnych specjalistów dla skomponowania tekstów i muzyki do piosenek i pieśni. Przez jeden tylko „Moskiewski Teatr Artystyczny” przeszło w ciągu dwóch lat 700 tysięcy młodych i najmłodszych widzów.

Organizatorom tej akcji chodzi, rzecz prosta, nie tylko o samo wywołanie emocji estetycznych, ale także o tworzenie nowej psychiki, o społeczno-etyczne oddziaływanie sztuki.

Na mniejszą znacznie skalę, ale systematycznie i planowo rozwija się praca artystyczna wśród dzieci w Niemczech, we Włoszech, we Francji.

We Włoszech powołano niedawno do życia instytut filmowy, mający na celu uregulowanie sprawy kina dla młodzieży. Ciekawe i znamienne, że Il Duce zakazał inscenizacji z D'Amicisa, nawołując do poruszania w teatrach dla młodzieży nowych zagadnień. Uważał, że lektura d'Amicisa wywołuje chorobliwe przeczulenie, jest przesadnie sentymentalna, oderwana od życia.

Jakże sprawa uartystycznienia dzieci i młodzieży wygląda u nas?

Niestety, prawie wszystko jest dopiero do zrobienia.

Wszelkie próby powołania na stałe do życia artystycznej placówki teatralnej dla dzieci, po kilku latach wytężonej i bardzo owocnej pracy, speliły w końcu na niczem.

Dzieci chodzą w niedziele i święta na „poranki”, straszliwe pod względem formy i treści, do „teatrów”, prowadzonych przez różnych przedsiębiorców w salach kinowych w centrum i na peryferiach miasta — no i do cyrku, — oczywiście i do kina na Pata i Patachona, albo na kliwie amerykańskie bujdy.

Młodzież „uczęszcza” od czasu do czasu, jak się zdarzy, do teatru, przeważnie jednak do kina na arcydzieła tej miary, co King Kong, prokurator Alicja Horn, albo coś w tym rodzaju. Filmy wartościowe są dla młodzieży przeważnie niedozwolone.

Tak mniej więcej przedstawia się „rynek” zaspakajający potrzeby artystyczne dzieci i młodzieży.

Tylko my dorośli jesteśmy obsłużeni ponad miarę i możność spożycia artykułów artystycznych, w jakie rynek obfituje. O nas się myśli, powstają jeszcze teraz nowe teatry. Stanowczo embarras de richesses. Dzieci i młodzież — zdobywają kulturę artystyczną w cyrku, kinie i na stadionie. Jeżeli tak sprawa wygląda w stolicy, co się dzieje na prowincji?

Obawiam się, że pozostawienie tej niesłychanie pilnej i ważnej sprawy odłogiem, grozi conajmniej tem, że za lat kilkanaście, taki na obywatela wyrosnięty młodzieniec mało co będzie wiedział o teatrze, o koncercie, o wystawie obrazów, rzeźb i t. d.

Sądzę, że sprawa zwrócenia uwagi na kształcenie uczuć estetycznych, na kulturę sensualną jest sprawą wagi pierwszorzędnej w myśl słynnego powiedzenia pewnego meza stanu: „sztuka bez państwa może istnieć, państwo bez sztuki nigdy”.

NOWE POEZJE

Wanda N. Dobaczewska. Nasza dola. Wilno. Nakład Ludwika Chomińskiego. 1932.

Książka pani Wandy Dobaczewskiej prezentuje ten typ twórczości regionalnej, który często niesłusznie jest pomijany przez naszych krytyków i recenzentów, wskutek skupienia uwagi tych ostatnich na zjawiskach literackich związanych z Warszawą, może dlatego, że jest ona największym i najważniejszym ośrodkiem literackim i wydawniczym. Dużą rolę gra tu też słabe zainteresowanie dla życia kulturalnego prowincji, jakie okazuje stolica.

Wanda N. Dobaczewska jest autorką dwóch tomów prozy i kilku tomów wierszy. Ostatni zbiór wierszy, „Nasza dola” wskazuje, że twórczość poetki wywodzi się z tradycji literackich wileńskich i do nich nawiązuje. Największy i najciekawszy cykl wierszy w tym zbiorku — „Nasza dola” — całkiem wyraźnie kontynuuje linię naszej poezji romantycznej, która w swych początkach czerpała soki ze źródła ludowości i nawoływała do zwrotu ku pieśni ludowej w wystąpieniach programowych. Tematyka wierszy p. Dobaczewskiej, oparta o podania i pieśni ludowe, ich szczerza piosenkowość, słownictwo sięgające często do miejscowego dialektu — dają efekt bardzo ciekawych i dramatycznie nastrojonych ballad. Charakterystyczne, że autorka ulega wpływom, przede wszystkim, kobiet-poetek: Konopnickiej i Ilakowiczówny. Widocznie są jakieś cechy twórczości kobiecej, które łatwiej trafiają do psychiki kobiecej niż męskiej. Wiersze p. Dobaczewskiej nie są rewelacją, nie wnoszą jakichś nowych oryginalnych wartości twórczych, ale wysiłek poetki, pracujący w swoim ośrodku kulturalnym, poziom wersyfikacyjny jej utworów nie wymęczonych i szczerych, swoiste elementy ludowości, jakie wnosi do poezji, — zasługują na uwagę.

Adam Znamirowski. Wir perspektyw. Gebethner i Wolff. Kraków. Warszawa 1933.

„Pada śnieg nikły z deszczem: huragan błędnych zaprzeceń — Zabawki pokruszone: żalozne marzenia człowiecze” (str. 11), „preraźliwie zastyga przepastnych zdumień krzyk” (str. 17), „na rozchukanych tęsknot rzucone pojazdy” (str. 19), „Tylko teraz w śmierć się ja mych myśli drętwę kohorty, Tylko piekła rozniecam w mych uczuć stężalych aortach — Flota mąk moich wpływa we wszystkich wieczności porty” (str. 22), „w krwawej otęczy szaleństwa, przez wichrów bitwy zaciekle Przeznaczenie gna” (str. 83), „Gdzie na hamaku nicości śmiech losu się kołysze” (str. 102).

Tych kilka charakterystycznych wyrażań, tak naciąganych, pozerskich, sztucznych w swej barokowej nastrojowości, pozwala odrązu skłasyfikować wiersze A. Znamirowskiego, jako należące do epoki, która bezpowrotnie przeszła. Ten tom rozmiął się ze swoim czasem. Gdyby pojawił się gdzieś około r. 1905, byłby przyjęty z zainteresowaniem, byłby pochłaniany może przez „nagie dusze”, omdlewające w nagich ciałach wampirycznych dziewic. Te ponure nastroje, poza na głębie mistyczno-metafizyczne, obsesja zagadnienia śmierci, — były modne w epoce młodej Polski. Książka Znamirowskiego jest dokumentem, który zaplątał się w nasze czasy, dokumentem psychiki dekadenta, programowo zagrożonego w nudzie i beznadziejności istnienia. Fala wypadków dziejowych, która przewalała się przez naszą psychikę, oddaliła nas od tego rodzaju odczuwania świata, od takiej twórczości. Teraz robi ona na nas wrażenie starego, zużytego, śmiesznego rekwizytu teatralnego. Niektóre może tylko wiersze, w których brzmi nuta szczerzego buntu i protestu przeciw karze śmierci, przemawiają do naszego humanitaryzmu. Ujęciem formalnym przypominają one wiersze Niny Rydzewskiej z „Miasta”. Rekwizyty poetyckie, styl przenośni, w których znalazła odbicie moda z przed 30 lat, prowokują do przewidywań, jakie wrażenie będą robić za lat 30 utwory niektórych współczesnych poetów, ulegających współcześnie panującym modom i receptom poetyckim, w rodzaju naprz. różnych „konstruktywnych metaforyzmów” i innych. Ws.



KOLUMNA ARCHITEKTURY KOLUMNA ARCHITEKTURY KOLUMNA ARCHITEKTURY

BARBARA BRUKALSKA
STANISŁAW BRUKALSKI

MIESZKANIA LUDZI PRACY

Skrót odczytu wygłoszonego na IV Międzynarodowym Kongresie Nowoczesnej Architektury (C. I. A. M.) na pokładzie SS. „Patris II” dn. 12 sierpnia 1933 r.

Zawarte poniżej spostrzeżenia i uwagi nasunęły się nam podczas kilkoletniej pracy architekta dla Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, która postawiła sobie za zadanie dostarczenie mieszkań dla klasy pracującej, rozumiejąc pod tym terminem zarówno robotnika jak i inteligenta.

Spółdzielnia wybudowała w latach po-myślnej konjunktury, szereg mieszkań według programów zbliżonych do wytycznych ustalonych przez nasz kongres frankfurcki (1929, temat: „mieszkanie najmniejsze”).

Mieszkania te (podobnie jak to miało miejsce w wielu innych krajach), okazały się w miarę zmniejszania się zarobków pracowników, zbyt kosztowne i rozpoczął się proces poszukiwania mieszkań mniejszych. Mieszkania opuszczone przez robotników, zostały zajęte przez rodziny pracowników umysłowych, którym w wypadkach nie dogadzał plan mieszkania przeznaczonego dla rodziny robotniczej.

W rodzinach urzędniczych i mąż i żona pracują przeważnie na mieście. Ponieważ pensja służącej jest bardzo niska w Polsce, każda prawie rodzina ma służącą. Wspólna izba, która jest zarazem i pokojem jadalnym i kuchnią nie posiada odpowiedniego miejsca dla ustawienia łóżka służącej.

Rodziny robotnicze, dla których mieszkania te były odpowiednie, emigrowały w poszukiwaniu mieszkań tańszych, których brak w całym mieście. I oto katastrofa.

Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa postanowiła zaradzić złu. Zażądała od swoich architektów opracowania planów mieszkań małych, których komorne nie przewyższałyby ceny 50 godzin pracy. (Przeciętny zarobek robotnika wynosił w roku 1930 około 150 zł. czyli sumę równą cenie 190 godzin pracy).

Zadanie było trudne. Koszt budowy, którego funkcją byłoby zgóry ustalone komorne, nie pozwalał na dalsze utrzymanie programu frankfurckiego. Bowiemy mieszkanie o zmniejszonych rozmiarach, ale zachowujące charakterystyczne cechy poprzednich zamierzeń, ustalających ilość koniecznych izb dla racjonalnego funkcjonowania życia rodziny, byłoby w istocie śmieszna karykatura.

Postanowiliśmy więc projektować mieszkania mniej zróżnicowane, powiększając ich powierzchnię użytkową, kosztem ilości ścian i drzwi.

Dla uniknięcia nowych pomysłów musieliśmy poprawić teoretyczny program ustalony dla minimum egzystencji, dostosowując go do warunków i miejscowych zwyczajów robotników warszawskich.

Dane niezmiernie cenne znaleźliśmy w wynikach ankiety Instytutu Gospodarstwa Społecznego z 1927 r., dotyczącej warunków życia robotnika w Warszawie i głównych ośrodkach przemysłowych (Łódź — przemysł tkacki, — i górnośląskie zagłębienie węglowe).

Zbadano warunki życiowe i mieszkaniowe więcej niż 1500 osób. Rozpisałiśmy zatem ankietę specjalną bardzo szczegółową, w wyniku której poznaliśmy 10 mieszkań typowych. Stwierdziliśmy wówczas istnienie dwóch krańcowo przeciwnych typów mieszkań robotniczych, a mianowicie:

- 1) mieszkania przeladowane starami gratami — i
- 2) mieszkania, w których brak sprzętów



najniezbędniejszych. Typ pierwszy jest charakterystyczny dla robotników wykwalifikowanych, którzy przed wojną zarabiali znacznie więcej niż obecnie. Byli oni zmuszeni obniżyć swą stopę życiową i przenieść się do mniejszych mieszkań, gdzie musieli umieścić swe wszystkie meble, które niegdyś były modną tandetą, a które dziś stały się starami i zużyteymi gratami. Przykład: mieszkanie dwupokojowe w Warsz. Spółdz. Mieszkaniowej, zamieszkałe przez rodzinę wykwalifikowanego robotnika. Pokój sypialny, 15 m² powierzchni, jest dosłownie meblami zapchany: trzy łóżka, kanapa, szafa, bieliźniarka, stół, dwa krzesła, i olbrzymia ilość zabawek dzieciennych. Przestrzeń pomiędzy meblami zredukowana jest do niezbędnego minimum dla niewygodnej nawet cyrkulacji.

Ten typ mieszkań jest przeważnie bardzo dobrze utrzymany i bardzo czysty, nawet gdy żona pracuje na mieście, nawet gdy ma dzieci, najczęściej u nas tak liczne. Jest rzeczą wrzuszającą ta bezużyteczna zapobiegliwość kobiet, w pracy nad konserwacją mebli wstrętnych, lecz ozdobnych, rozlatujących się z dnia na dzień. Bohaterskie wysiłki, ponoszone kosztem najniezbędniejszych wygód, kosztem takich funkcji życiowych, jak spanie, jedzenie i praca zawodowa, kosztem nawet higieny dzieci, dążą jedynie do ukrycia monotonii i smutku życia robotniczego pod pozorami swoistego drobnomieszczańskiego komfortu.

Przykład: mieszkanie robotnicze w Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Wchodzimy do izby wspólnej — zaduch, bo okien nie otwiera się z obawy przeciągu. Matka gotuje obiad, ciotka obiera ziemniaki, dwoje dzieci bawi się na podłodze z niezmiernym hałasem, w kolyse wrzeszczy niemowlę, ojciec rodziny, spocony, chrapie na łóżku, — to jego odpoczynek po nocnej pracy.

Lecz w mieszkaniu jest jeszcze jeden pokój, gdzie powietrze jest chłodne, gdzie panuje cisza i idealny porządek. Jest on zamknięty na klucz, lecz pokazuje go nam z dumą: dwa łóżka małżeńskie przykryte kapą, robioną na drutach, dwie szafy, z nich jedna lustrzana, otomana, komoda, niezliczone figurynki, pamiątki, „landszafy”. Pokój ten jest zawsze gotowy na przyjęcie gości, jak gdyby robotnik mógł istotnie prowadzić życie „światowe”.

Dla drugiego typu mieszkań, znacznie częstszego, charakterystyczną cechą jest zupełny brak najniezbędniejszych mebli i sprzętów kuchennych, a co najważniejsze, brak łóżek.

Ankieta Instytutu Gospodarstwa Społecznego wykazuje, że jedno łóżko służy przeciętnie więcej niż dwóm osobom. W 20% wypadków w jednym łóżku śpi więcej niż 3 osoby, podczas gdy 2,5% osób nie posiada łóżek wogóle. W małej izdebce, straszliwie przeludnionej, niema nawet miejsca na składane łóżko.

Co się tyczy innych mebli i sprzętów kuchennych, stwierdzono:

- na osobę — 3/4 stołka,
- na rodzinę — 1,5 stołu, 1 szafa.

Ilość naczyń kuchennych i zapasów tak ograniczona, że na ich przechowanie wystarczy w rodzinie robotniczej 1 mała szafka o dwóch półkach. Ten właśnie typ szafki zastosowaliśmy w kuchniach najmniejszych mieszkań.

Dawnego typu wentylowane szafy kuchenne, znacznie za duże, zapelniano, obok naczyń i zapasów, butami, bielizną i bezużytecznymi gratami.

W mieszkaniu zajmowanym przez 4-osobową rodzinę, widzieliśmy jeden mały stolik i parę krzeseł. Ale nawet w mieszkaniach tego typu, prawie zupełnie pozbawionych umeblowania, można zaobserwować specyficzne objawy snobizmu, chęć zasłonięcia nędzy, resztkami tandetnych mebli, kanapy, tremo i t. p.

Jest jeszcze jedna cecha charakterystyczna dla mieszkań robotniczych: zamiłowanie do hodowli roślin doniczkowych. Parapety okien są niemi tak dokładnie zastawione, że o otwarciu okna mowy niema. Świeże powietrze i słońce, niezbędne dla zdrowia ludzi, według panujących tu poglądów, szkodzi kwiatom. To też z walki o życie, w któ-

rej giną dzieci, kwiaty wychodzą zwycięsko.

Wszystkie te dane ilustrują dostatecznie chaos i brak kultury w mieszkaniu robotnika polskiego. Mieszkanie najmniejsze, gdzie każdy centymetr kwadratowy jest ściśle przewidziany w rozplanowaniu sprzętów, niezbędnych i użytecznych, nie jest urządzone w myśl wskazówek architekta, a jedynie według majątku lokatora, symbolu jego względnego dobrobytu. Robotnik nie zdaje sobie sprawy z użyteczności sprzętów i wprowadza się do odnajmowanej przez siebie izby ze wszystkimi swoimi gratami, do posiadania których doszedł przez długie lata swego życia.

Jeśli więc chcemy, by mieszkania najmniejsze były użytkowane racjonalnie, należy je zaopatrzyć we wszystkie meble niezbędne i użyteczne i wraz z meblami wynajmować.

Polska grupa C. I. A. M. — „Praesens” podjęła się zaprojektowania i wykonania sprzętów dla mieszkania robotniczego z uwzględnieniem wymagań i zdolności płatniczych robotnika.

Otrzymałiśmy do naszego rozporządzenia w domu Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej (rys. 2) mieszkanie złożone z izby wspólnej z niszą do spania, przedpokoju z szafą, ustępu, umywalni, i z kuchni, która zresztą już była umeblowana, jak wszystkie kuchnie w mieszkaniach tej spółdzielni. A mianowicie: piec kuchenny węglowy z kuchenką gazową, stół, pod nim mała szafka przewietrzana i zlew umieszczony w umywalni, obok niego ławka pod miednicę (17) (rys. 3). Izba wspólna rozbita została na trzy części, odpowiadające funkcjom sypialni, jadalni i pokoju do pracy. Dwa łóżka zamontowane jedno nad drugim w niszy (13, 14), trzecie — w dzień umieszczone pod dolnym łóżkiem, na noc wyciąga się i zasłania parawanem (15). Rodzice śpią na tapczanie (12), którego wezglowie tworzy mała szafka (11). Dwie półki na książki (10), stół (8), fotelik (9) i fotel wypoczynkowy (7), stanowią gabinet do pracy. Jadalnia jest reprezentowana przez stół (1), dwa krzesła (2), dwa stołki (3), ławkę-skrzynię (4), mały kredens (5), dwie półki pod oknem (6) i oiekno do podawania w ścianie pomiędzy izbą a kuchnią (16). Wszystkie sprzęty wykonane z jesionu, stół i stołki pokryte linoleum (patrz rys. 4, część stołowa, rys. 5 kąt do pracy, rys. 6 nisza sypialna z wsunieciem na dzień łóżkiem ruchomem).

Mieszkanie takie może być zajmowane przez rodzinę, złożoną z pięciu osób. Sprzęty są modelami, według których lokatorzy mogą obstałowywać całe umeblowanie od razu lub częściowo. Spółdzielnia udziela im długoterminowych pożyczek na zakup mebli, pożyczki te są zwracane w formie niewielkiej dopłaty do komornego. Ponieważ nie można było znaleźć kredytu na umeblowanie mieszkań, sprzęty te są sprzedawane lokatorom, miast być wynajmowane wraz z mieszkaniem, jak to było w naszych zamiarach.

Koszt całkowitego umeblowania mieszkania wyniósł niespełna 1000 zł.

Takie rozwiązanie sprawy małego mieszkania jest załatwianiem połowicznym, gdyż zakupywanie najlepszych nawet sprzętów przez pracowników nie przyczyni się nigdy do podniesienia poziomu kulturalnego ich mieszkań.

Kultura mieszkania była dotychczas ściśle związana z pojęciem własności prywatnej. Pokolenia dziedziczące własność, wytwarzały jedyne formy mieszkań: pałace, zamki, domy patrycjuszów, mieszczań i chłopów.

Pracownicy są pozbawieni własności, i byt ich jest oparty na pracy najemnej z terminowym wymówieniem.

Człowiek, który w 15 dni może stracić cały swój zarobek, musi mieć daną możliwość zmiany miejsca i rodzaju zamieszkania.

Mieszkanie, będące prywatną własnością przywiązuje do miejsca i utrudnia walkę o byt.

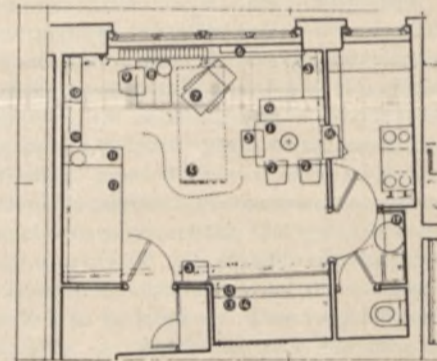
Czyż majątek, zdobyty ciężką pracą, ma się wyrażać w pierwotnej formie posiadania umeblowania? Wydaje nam się, że formą bardziej nowoczesną będzie raczej prawo posiadania mieszkania umeblowanego, które będzie odnajmowane wraz z meblami, jak

dziś odnajmuje się tylko ściany, podłogi, okna, a więc izby nieumeblowane.

Serja mieszkań umeblowanych, przeznaczonych dla rodzin różnej wielkości i różnych kategorii zarobkowych, położonych w różnych dzielnicach, może zaspokoić najrozmaitsze wymagania.

Ilość osób w rodzinie	Schemat kategorii mieszkań				
	a	b	c	d	czynsz
2	±0	+1	+2	+3	
2 1/2	-1	±0	+1	+2	
3	-2	-1	±0	+1	
3 1/2	-3	-2	-1	±0	
i t. d.					

Oto szkic schematyczny programu dostarczania mieszkań dla ludzi pracy: rubryka pozioma oznacza komorne miesięczne, pionowa — liczbę lokatorów. Mieszkanie naj-



KOLUMNA ARCHITEKTURY KOLUMNA ARCHITEKTURY KOLUMNA ARCHITEKTURY

mniejsze niezbędne dla rodziny o danej liczbie członków oznaczone jest przez zero. Mieszkanie ponad minimum — przez plus 1, poniżej minimum — przez minus 1.

Przykład: rodzina, złożona z 2 osób zajmujące mieszkanie kategorii zero, odpowiadające komornemu a. Rodzi im się dziecko. Jeżeli w tym czasie zarobki ich pozostają te same, nie będą oni płacić większego komornego, lecz winniby zająć mieszkanie o większej powierzchni. Kategoria więc ich mieszkania będzie niższą, t. j. minus 1.

Jeśli przeciwnie, zarobki zwiększają się jednocześnie ze zwiększeniem rodziny, komorne może się zwiększyć proporcjonalnie przez powiększenie mieszkania i kategoria jego pozostaje zero.

Jeśli zarobki zwiększają się, a ilość członków rodziny pozostaje ta sama, powierzchnia

mieszkania może się nie zmieniać, lecz kategoria się zwiększy — rodzina ta może przenieść się do mieszkania lepiej zaopatrzonego, kategorii plus 1.

Wnioski.

Polska grupa Kongresów Międzynarodowych Architektury Nowoczesnej stwierdza, że:

Pracownicy umysłowi i fizyczny potrzebują dostatecznej ilości tanich mieszkań, zaopatrzonych w całkowite, niezbędne umeblowanie. Mieszkania te nie powinny być własnością prywatną użytkowników.

Zamiast pojęcia, mieszkanie na własność, należy wprowadzić gwarancję używalności mieszkań umeblowanych. Połączenie nabytych praw mieszkaniowych z objektem two-

rzącym hipoteczną nieruchomości, paraliżuje racjonalne użytkowanie mieszkań.

Uniknięcie nieistotnego związku między potrzebą mieszkania a własnością prywatną dałoby następujące korzyści:

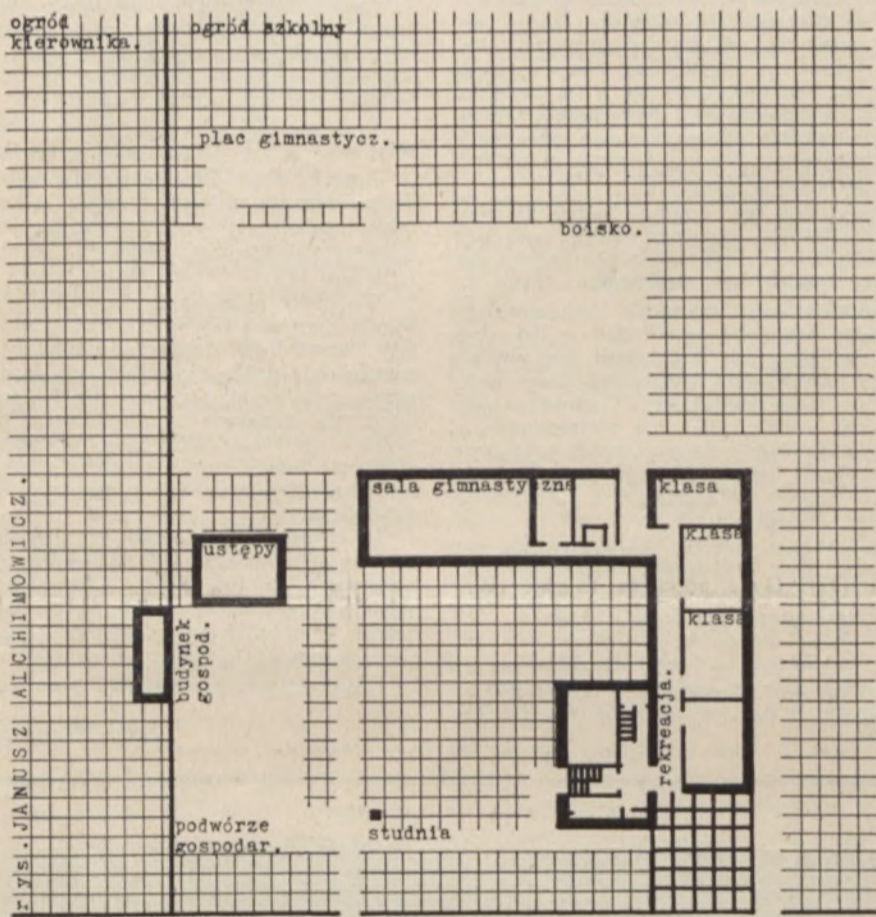
1. możliwość zmiany mieszkania w wypadku zmian zachodzących w składzie rodziny;
2. możliwość zmiany mieszkania w miarę zmiany zarobków;
3. możliwość zmiany mieszkania wraz ze zmianą miejsca pracy;
4. uniknięcie wciągania pracowników we fluktuacje finansowe i spekulacje giełdowe w dziedzinie nieruchomości i przemysłu budowlanego;
5. możliwość wyboru rodzaju mieszkania (w domach wielomieszkaniowych lub jednorodzinnych).



Warszawa
Szkoła przy ul. Tarczyńskiej

ROMAN PIOTROWSKI

O BUDYNEK SZKOLNY



Dyskusja, która toczyła się raz w jednym ze stołecznych zgrupowań architektonicznych nasunęła mi szereg refleksyj. Chodziło o budownictwo szkolne.

W czasie odczytów pokazano dużo przedstawięcych celniejsze szkoły zagraniczne z ostatnich kilkunastu lat. Wyłożono nowy program ustroju szkolnictwa powszechnego i średniego. Pokazano wzory typowych budynków szkół powszechnych i idealne schematy gmachów szkół średnich. Nie pokazano istniejących szkół. Ani starych ani nowych. Zdaje się, że nastąpiło to na skutek niepisanej cichego paktu zawartego w społeczeństwie architektonicznym, trawstającego dawne powiedzenie „de mortuis aut nihil aut bene” na nowe „de vivis aut nihil aut bene”. Był to niemal że jedyny „modernizm”, który zakradł się do rozważań nad zagadnieniem budownictwa szkolnego.

Przemawiali „specje” od architektury szkolnej, entuzjaści i sceptycy. We wszystkich prawie przemówieniach przewijała się jedna nuta, jedna myśl. Była to nuta niepewności, poszukiwania i pewnego rodzaju bezradności.

Nie pomagało zwracanie się do wzorów zagranicznych. Oglądane na ekranie plany i widoki szkół — zdaniem prelegentów — najcelniejszych szkół z ostatniego okresu, nie dawały wcale wytycznych dla urobienia sobie poglądu na drogę, po której powinni iść architekci dla zbliżenia się do tej wyczuwanej rzeczywistości najlepszej odpowiedzi na problem budynku szkolnego.

Oczekując znaku ze wschodu czy z zachodu, postawieni twarzą w twarz z naszą rzeczywistością drepczemy na miejscu, zgła-

szając pretensje do siebie nawzajem. „MY” to znaczy pedagodzy, higienicy i architekci. Nie zgłasza pretensji jeden czynnik, który w tem zagadnieniu został sprowadzony do znaczenia przedmiotu — dzieci. Kto wie czy nie w tej niemożności zabrania głosu przez dzieci tkwi jedna z najważniejszych trudności rozwiązania zagadnienia (budynek szkolnego).

Wszyscy zgodnie głoszą „więcej, jaknajwięcej światła i powietrza w szkole”. Tylko, że to samo hasło można i trzeba zastosować do wszystkich dziedzin naszego życia. Zdanie to, nie określa bliżej, nie precyzuje pojęcia, lub jeśli kto woli problemu szkoły. Przeciwnie znajdujemy w nim już zgóry zawarte stwierdzenie, że pojęcie szkoły, budynku szkolnego jest właściwie już ustalone, a chodzi jedynie o pewną przerwóbkę. Tymczasem wszystko zdaje się wskazywać na to, że sprawa ta dojrzała do radykalnej zmiany u samych podstaw.

Cale życie tak jednostki jak i społeczeństwa da się podzielić na: pracę, odżywianie, spoczynek, rozrywkę i kult. Uczenie czy to w formie czynnej czy biernej trzeba bezwarunkowo zaliczyć do pracy. Szkoła jest więc warsztatem pracy. Budynek szkolny ma znaczenie jedynie w sensie umiejscowienia tego warsztatu. Nic ponadto, ale też ani o jedną literę ani o jedną kreskę mniej.

Zaden budynek fabryczny nie posiada jakichś zgóry narzuconych form poza wymaganiami stawianymi mu przez procesy jakie w mieszczącym się w nim warsztacie zachodzą. Pełny wyraz odpowiadający tym wymaganiom to twórczość inżyniersko-architektoniczna.

Budynek szkolny musi odpowiadać wy-

maganiom warsztatu nauczania, musi zapewnić najracjonalniejsze warunki dla pracy w tym warsztacie. Na tem polega twórczość architektoniczna, w tem może wypowiedzieć się architekt artysta a wszystko reszta to „architekturka”.

Architekt nie jest powołany do tego by ustalał przebieg pracy w szkole, on musi dostać wyczerpujące wiadomości o tem. I w tem znaczeniu musi dostać program. Nie zestawienie pewnej ilości wydzielonych przestrzeni z takimi czy innymi nazwami. Formowanie bowiem przestrzeni właśnie do niego należy. W tem miejscu zaczyna się wspólna praca jego ze wszystkimi czynnikami mającymi rzeczywiście głos, a nie tylko urojone pretensje do niego, w sprawie szkoły. Błędy tu popełnione nie dadzą się już niczem w dalszym stadium pracy naprawić.

A niestety najczęściej tutaj właśnie popełniane są najkardynalniejsze błędy.

Program budynku szkolnego rozumie się przecież dzisiaj nagminnie jako spis tytu a tytu klas, tytu tak zwanych sal, tytu gabinetów i odpowiednia ilość ustępów. Do tego przepisowe boisko — takie i takie gry, nawiasem mówiąc, skóra cierpnie na mnie gdy pomyślę co stanie się z temi wzorowymi boiskami jeśli za parę lat wejdzie w życie i

użycie nowa gra wymagająca o parę metrów więcej miejsca, ogród szkolny, (7 drzewek w dwa rzędy „wolnej przyrody”) to wszystko.

Tak to wszystko! tylko w tem wszystkim zginął gdzieś ten mały człowieczek, który ma tam pracować. Zginął on i produkt jego pracy. W tych salach mogą doskonale spać wąsate draby, na boisku odbywać się może z powodzeniem musztra wojskowa. Nie, ten „program” zanadto zalał tuje koszarami. Doprawdy więcej ludzie wykazali pomysowości jeśli chodzi o hodowlę roślin. Ciepłarnia, inspekty, grunt.

Powiedziano — nie u nas — że szkoła ma wytworzyć: człowieka, któryby był pracownikiem zespołowym naszych czasów, któryby żył daleko silniej życiem społecznym niż własnymi sprawami, któryby był wypełniony nowym stosunkiem do pracy, — pracy uczciwości i sławy”. Jeżeli nawet słowa te nam nie odpowiadają to jednak zgodzić się musimy, że to jest program. Gdyby nad tak pojętym programem zasiadli do pracy architekci wspólnie z pedagogami i higienistami to mam nadzieję, że dzisiejsza przeżyta zaporą utartego szablonu zostałaby przewalczona. Może zostałoby przełamane pojęcie klasy jako elementu z którego powstaje szkoła.



Warszawa
Szkoła na pl. Narutowicza



Kostopol na Wolnyu
7-o kl. Szkoła Powszechna



Warszawa
Gimnazjum im. Batorego



Warszawa
Szkoła przy ul. Bema



Warszawa
Szkoła przy ul. Rozbrat



Warszawa
Szkoła przy ul. Rozbrat

KOLUMNA ARCHITEKTURY KOLUMNA OTWIERA ANKIETĘ W SPRAWIE GODŁA HERBOWEGO WARSZAWY



Projekt nowej pieczęci zarządu miejskiego



Syrena na obrazie Gersona w gmachu Ratusza warszawskiego

Godło herbowe miasta — zwłaszcza stolicy — to sprawa niewątpliwie poważna, sprawa, która nie powinna być rozstrzygana przez czynniki administracyjne Zarządu Miasta bez zasięgnięcia wszechstronnej opinii sfer naukowych i artystycznych.

Każda epoka godłu herbowemu państwa, miasta czy człowieka nadaje kształt zewnętrzny, formę rysunkową odpowiadającą smakowi i gustowi współczesności.

Inny jest w ujęciu plastycznym Orzeł państwowy Kazimierza Wielkiego, inny Zygmuntowski, Saski, czasów Królestwa Kongresowego czy wreszcie obecnie przyjęty.

To też nie dziwne, że i Syrena warszawska — godło nieco dziwaczne, o dość tajemniczym rodowodzie — w tej formie w jakiej przekazał nam ją wiek XIX, a którą obserwujemy na tramwajach miejskich, emblematkach magistrackich, pieczęciach, — ulec musi dziś modernizacji.

Chodzi jednak o to, że ta zmiana formy zewnętrznej tematu herbowego odpowiadać musi wymaganiom artystycznym, naukowym (heraldycznym) i utylitarnym wreszcie (możność różnorodnego zastosowania rysunku do pieczęci, hafiu na chorągiewce, wyciętej z blachy sylwety, znaczka na czapkę i t. d.).

Ostatnio warszawska Rada Miejska za twierdziła bez sprzeciwów przedstawiony przez Zarząd Miasta nowy projekt opracowania Syreny. Historia tego projektu jest krótka i wymowna. Swego czasu Magistrat ogłosił konkurs na opracowanie godła herbowego, wyznaczając nagrodę aż 200 zł. Oczywiście konkurs ten nie dał zadowalających rezultatów, wobec czego Zarząd Miasta, na którego czele stał prezes Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości, postanowił załatwić sprawę „we własnym zakresie”, polecając wykonanie projektu ściśle na podstawie wizerunku Syreny z jednego z obrazów Gersona w salach Rady Miejskiej. Reprodukcje projektu i modelu zamieszczamy.

Projekt wymaga jeszcze zatwierdzenia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zanim jeszcze decyzja Ministerstwa zapadnie zwracamy się do przedstawicieli nauki, do plastyków i do architektów z prośbą o wypowiedzenie się, czy projekt zatwierdzony przez Radę Miejską odpowiada warunkom naukowym, artystycznym i utylitarnym jakie stawiać musimy rysunkowi godła herbowego miasta i czy forma, w jakiej załatwiono tę sprawę w łonie Zarządu Miasta odpowiada powadze samej sprawy.

(w.)

TRAGIZM NIJAKOŚCI

Instynkt ludowy otoczył tajemnicą moment porównania dnia z nocą, przechodzenia światła w mrok. Te same jakby instynktowe niepokoje skłaniają pisarzy do badania granicy, na której w duszy ludzkiej stykają się czy też rozdzielają dobro i zło.

Gdzie i kiedy poczyna się zbrodnia, jakie ukryte fermenty zachodzą w głębiach psychiki człowieka, którego mianem przestępca odtąd od swego pnia przeciętna t. zw. uczciwa społeczność?

Ten problem chętnie w imię zainteresowań humanitarnych i literackich podejmują pisarze. Przed niedawnym czasem dawała próbę rozwiązania Zofja Nalkowska w „Scianach świata”, stawiając hipotezę metafizycznej konieczności zbrodni: istnieje we wszechświecie pewna suma zła i ciężar jego wedle tragicznych, niewytłumaczalnych praw istnienia rozkłada się na głowy ludzi, którzy niejako muszą stawać się zbrodniarzami.

Są to, rzeczy się chciało, tragiczni odkupiciele a rebours, przyjmujący na siebie grzech zbrodni, aby innych od niej uwolnić w myśl tego, co w smutnej skardze wyraził Hamlet: „ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś”.

Czesława Wojeńska w powieści „Jan już jest taki” dała nową analizę dróg, jakimi idzie jednostka do momentu, który ją postawi poza granicami społeczeństwa.

Hypoteza jej będzie natury psychologicznej — nie społecznej. Bohaterem książki nie jest ani typ o instynktach zbrodniczych, ani też człowiek słaby a postawiony wobec groźnie zwikłanego spłotu okoliczności.

Jan niezmuszany ani nędzą powszednią, ani nadmiernie trawiącym głodem użycia,

staje się defraudantem, a pośrednio mordercą własnej matki, którą dusi, przygodnie poznany przez Jana, Łukasza.

Młodociany zabójca nie jest właściwie „zły”. Jan czuje to, patrząc w jego dziecięce napoly oczy, ale jednocześnie z lękiem zdaje sobie sprawę, że między nim, a tym chłopcem, istnieje tajemna więź.

W tym punkcie stajemy wobec stanowiska autorki, które jest tak znamienne, i tak ważne dla dzisiejszej chwili, że nie pozwoli nam na wyłącznie krytycznoliterackie traktowanie powieści Wojeńskiej.

Zagadnienie przestępstwa ujmuje autorka w płaszczyźnie struktury wewnętrznej człowieka. Brak jej, nieistnienie jakiegokolwiek pionu, wokół którego krystalizowałby się charakter — jest przekleństwem Jana, jest klęską człowieka, dla którego schodzenie w dół po szczeblach moralności społecznej nie stanowi właściwie żadnej trudności, a który jednakże nie ściągnie naszego absolutnego potępienia, bo „nie jest to człowiek zły”.

Subtelny a bezwzględny skalpel analizy odkrywa nam tu psychikę ludzi, którzy mogą być wszystkim, bo są właściwie żadni, bo stanowią jedną wielką możliwość dla każdego wpływu.

Jan już jest taki — taki, że nie znosi oszczędności i liczenia się z groszem, że szczęśliwy jest z byle czego i z byle kim, że nie umie sobie niczego odmówić, ani niczego przewidzieć, ani niczego uniknąć. Ucieka od każdej przykrości i każdej odpowiedzialności życiowej, a gdy zgłosi się do prokuratora z samooskarżeniem, to dlatego, że nie może znieść nerwowo ciężaru odpowiedzialności, myśli o karze.

A gdy stanie przed nim widmo więzienia, to najgłębszy lęk wywoła w nim świadomość,

że tam już nie umknie przed sobą samym, że zostanie sam ze sobą.

Ten brak kształtu wewnętrznego — powoduje pustkę, która go gna między bylejakich ludzi, i sprawia, że Jan zależy od ludzi i spraw — przypadkowych, bo tylko przez nich właściwie żyje. Jego pustka zapełni się dając tylko cudzem życiem, czemś idącym zewnątrz. Jan ma dobre i złe odruchy, ale sam nie jest ani zły, ani dobry — jest żaden.

To jest nikt — mówi o nim siostra.

W tej prózności niema mowy o zahamowaniach moralnych i taka jest droga od Jana do Łukasza. I on nie znosi samotności, i on nie potrzebuje siebie samego.

Łączy ich obu niejako wewnętrzna, do pasji doprowadzająca czytelnicza galaretowatość charakteru, nie pozwalająca ani potępić, ani usprawiedliwić, ani może nawet współczuć. To też jedynym argumentem, jakim broni Jana kochająca go głęboko żona, a jakim potępia go surowa siostra, będzie stwierdzenie: Jan już jest taki.

Tak narysowana sylwetka jest owocem świetnej intuicji literackiej, a zarazem śmiałością sięgnięciem wgłęb współczesnego życia.

Najgłębsze wg. autorki zło leży w braku charakteru, w bezmyślnym przemycaniu się około najważniejszych, niedających się zbyc frazesem czy dowcipem spraw życia.

Tragiczne jest w skutkach owo dążenie do życia ułatwionego za każdą cenę.

Dlatego książka Wojeńskiej wydaje mi się ważna, cenna i niepokojąca. Zmusza czytelnika do rozwiązania, żadnej recepty dydaktycznej nie dając.

Jan już jest taki — stwierdza autorka. Pytamy — dlaczego? i starym dobroczynnym nalogiem szukamy przyczyny. Autorka jednak nie sugeruje nas w żadnym kierunku. Nie spotykamy się w powieści ani z patosem pedagoga, ani społecznika. Wojeńska nie oskarża nikogo. Celowo opanowuje odruchy emocjonalne na korzyść obiektywizmu dzieła literackiego.

Przykładem tego starania będzie nie tylko ton rzeczowości, panujący w całej powieści, ale potraktowanie tak kuszącego tematu, jak kwestia wymiaru sprawiedliwości.

Autorka daje dwukrotnie rekonstrukcję przebiegu fatalnych trzech dni w dwu kolejno następujących rozdziałach pod tytułem „Wizja obiektywna” (nieuprzedzonego doktora) i „Wizja subiektywna” (samego pod sądowego) i obie relacje są niejako równo uprawnione. Nic z nastrojowości, jaką przy takiej okazji wprowadzają pisarze (Wassermann — Sprawa Mauriziusa) nie weszło do powieści Wojeńskiej.

Bezosobistość ujęcia, konsekwentnie zachowany chłód artystyczny, nierównoznaczny jednak z obojętnością pisarki jako człowieka, jest uderzającą cechą utworu.

Wojeńska nie pozwala ani sobie, ani swym bohaterom na sentymentalizm, na liryzowanie, daje im myśleć o tyle, o ile to im samym — nie zaś czytelnikowi, jest potrzebne.

Należy jeszcze zwrócić uwagę na jeden moment powieści. Chodzi o świetny rozdział zatytułowany „Starość cyniczna” — jest to obraz współżycia dwóch starych kobiet — matki i ciotki Jana, do szczętu pozbawionych „złudeń”. Rozdział ten, organicznie powiązany z całością, stanowi jednakże kompozycję zamkniętą, a wywołuje podobne wrażenie, jak bezlitośnie odkrywające głębi ludzkiego serca „Kłębowski żmij” Mauriacca. Styl Wojeńskiej jest niespodzianką wobec mody, panującej w prozie dzisiejszej.

Hasłem dla współczesnego pisarza są przeważnie twimowe „Słowa do krwi”, celem — wydarcie życiu tajemnicy życia, metodą — szturmowanie słowa do jądra rzeczy; przekonanie zamierzonych czasów, że właściwe nazwanie przedmiotu czy istoty jest zarazem uzyskaniem nad nią władzy.

Ten atak słowem na życie, uparty pościg za maksymalną ekspresywnością stworzył niebezpieczeństwo nowego baroku, przerosła metafory. Miała ona stać się magicznym zwierciadłem, pokazującym życie jego twarz, a w krańcowym zastosowaniu wyrodziła się ze sztukmistrzostwa w kuglarstwo stylu.

Te same cele stoją u kolebki innej metody pisarskiej, którą nazwały się dało metodą cudzysłowową. Przy jej pomocy pisarze próbują zagarnąć jak w sidła żywe organizmy codziennej mowy, chwytają ją na gorącym uczynku życia.

W stylu współczesnej literatury polskiej odbił się dobitnie ten sam niepokój przełomu, jakim pulsuje nasza dzisiejszość, te same dysproporcje, jakie wyrastają na terenie polskiej kultury.

Zalamanie się równowagi między słowem i myślą, między wyrażaniem i wyrażaniem jest znamienne, jak sądzę, cechą epok przejściowych, okresów zasychania starych, narastania nowych wartości życiowych.

Tym modom pierwsza powieść Wojeńskiej wydaje się celowo przeciwstawiać.

Autorka kształtuje swój styl jakby na wzór równania matematycznego. Cechują go zdania proste, zwarte, przeważnie krótkie, kilkuwyrazowe, oraz niezwykła ekonomia w użyciu przydawek i przymiotników.

Wojeńska pisze w ten sposób, że z jej zdania niewiele dalałoby się bez szkody dla myśli usunąć. W dążeniu do prawdy artystycznej nie posługuje się modną fotografią mowy codziennej, nie podrabia jej ani stylizuje, nie zaprawia superrealizmem dosadności — a z drugiej strony nie sugeruje głębi, nie ładuje swych krótkich zdań patosem przemilczań, energią potencjalną niedopowiedzeń.

Jej eksperyment pisarski jest niewątpliwie interesujący i osiąga efekt zamierzony: przekonywa, że ważne sprawy można wyrazić prosto. Należy jednak pamiętać, że i tej metodzie grozi niebezpieczeństwo: schematyzacja, zdrewnienie żywej miążgi języka.

Granica prostoty musi być prostota.

Zofja Mianowska

AMATORZY BRIDGE'X I

PAPIEROSY
Bridge
20 SZT.

SPROBUJCIE NAJNOWSZYCH
PAPIEROSÓW „BRIDGE”
CENA 20 szt. - 1 zł. 40 gr.

LEON
POMIROWSKINOWA KSIĄŻKA
CHOROMAŃSKIEGO

Sądząc podług dat, „Opowiadania dwu- znaczne” napisane zostały przed „Zazdrością i medycyną”. Bardziej jednak, niż daty, przekonują o tym motywy treściowe tych nowel, a przede wszystkim sposób ujęcia, technika kompozycyjna i wynikające z niej — efekty artystyczne.

Czynniki te występują w nowelach z całą jaskrawością roboty, jakby przygotowanej do większych zadań pisarskich.

Nie chcę przez to powiedzieć, że „Opowiadania” mają charakter ćwiczebny, i że stanowią jedynie wartość etapu przejściowego od „Białych braci” do „Zazdrości i medycyny”. Za wiele w nich oryginalnej materii literackiej, aby je redukować do historycznego tylko znaczenia w rozwoju pisarza. Niewątpliwie odbijają one indywidualność Choromańskiego, a więc to, co dla psychologii stylu jest sprawą rozstrzygającą: stosunek do życia. Jeżeli przeto, mimo świetne rezultaty, zwłaszcza w „Zazdrości i medycynie”, proza Choromańskiego budzi pewne wątpliwości i zastrzeżenia, to właśnie „Opowiadania dwuznaczne” najwięcej w tym względzie dostarczają materiału.

Zresztą, wady Choromańskiego związane są z istotnym charakterem jego twórczości, i aby je wykazać, należy wniknąć w indywidualnego ducha jego literatury.

Utworki młodego pisarza są niewątpliwym objawem demaskowania się w obiegu literackim form. Form psychologii i stylu. Naczelną tendencją pisarza jest sprowadzenie pewnych reprezentacyjnych zjawisk psychicznych do ich motorycznych źródeł. Jest to, skądinąd, znana, szczególnie u pisarzy rosyjskich, metoda „kompromitowania” wysublimowanych wyobrażeń o życiu przez zestawianie ich z brutalną, czasem czysto fizjologiczną pobudką życiową. Konfrontacja marzenia z rzeczywistością, świadomego, albo nawpółświadomego samooszustwa wyobraźni — z surowym naturalizmem instynktu samozachowawczego i t. p.

Celność tego zabiegu jest w istocie zastanawiająca. Oddawna już żaden wchodzący w literaturę pisarz nie ujawnił tyle dojrzałej świadomości w ujmowaniu przebiegów życiowych, tyle ambitnej pasji odkrywczej w przenikaniu źródła przeżyć, działań, no i takiej prostoty artystycznego formułowania nowych zdobyczy tematycznych.

Tereniem tych odkryć, jak już wspomniałem, jest sprawa ludzkiej codzienności. I to jest w pracy Choromańskiego moment najbardziej rewolucyjny. Codziennosc bowiem, jako podstawa ciągłości naszego bytowania, staje się najoczywistszym zagadnieniem automatyzmu. Człowiek tak przyrósł do tego automatyzmu egzystencji, że każda próba zakłócenia go, wywołuje popłoch w naszym stosunku do świata.

Najbardziej zaś dotkliwym zakłóceniem powszedniości zdarzeń jest wykazanie, że nie są one wcale takie powszednie, że pod skórą ich zewnętrznej i bezpiecznej wykładki drzemie źródło nieoczekiwanych, groźnych możliwości — cała nowa fantastyka życia. W obliczu tych podziemnych możliwości, tkwiących w nas i dokoła nas — normalność, autentyczność naszego bytu wydaje się tylko zasłoną dymną, poza którą kryją się właściwe żywioły istnienia. Choromański raz po raz wydobywa je z ukrycia, odsłaniając niepokojące kulisy społecznej powierzchni. Czyni to na podstawie analizy osobników, wyważonych z toru normalnych, „przeciętnie zdrowych” przeżyć, bierze pod szkoło objawy deformacji psychicznej, z najprostszego faktu wywiązując atmosferę niesamowitości.

O cóż mu chodzi w całym tym wyrafowanym stosunku do życia?

O to zapewne, co jest cechą całej dzisiejszej literatury — o dotarcie do najgłębszego a więc wewnętrznego realizmu naszego istnienia, o poznanie najistotniejszej, najprawdziwszej jego maszynerji. Środkiem, który mu służy do tego celu jest podważanie, niezbyt zarozumiałego poczucia pewności sugestij grozy, czające na każdym kroku, grozy która ma przestrzec przed samozachowawczą, prostolinijną idealizacją spraw ludzkich, przed zbyt ufną wobec pozorów, szablonością zwyczajowych formuł i t. p.

Idea tych zabiegów? Zapewne taka:

Świadomość, okrutna, ostra i boląca, ukazująca odwrotną stronę zbanalizowanego medalu życia, przecina notoryczną niemal ucieczkę od komplikacji tego życia, zmusza do powagi i odpowiedzialności nie tylko za tę sferę egzystencji, którą zdolaliśmy poznać i opanować, ale i za te dziedziny, które istnieją poza naszą wiedzę i władzę, które możemy jedynie przeczuć, ale które powinniśmy przeniknąć, aby stosunek nasz do świata stał się wyrazem i obrazem całokształtu istnienia.

Choromański usiłuje pomóc tym naszym przecuciom, demonstrując zjawiska rozkładu, choroby, rozprężenia woli — a więc objawy wszelkiej deformacji. Są to preparaty — preparaty prawie anatomiczne, przygotowane na zimno z charakterystyczną dla tego pisarza poządlwością egzotyzytu i niezwykłości. Z każdego niemal typu ludzkiego powstaje — pod działaniem ostrego rozczynu ironji — taki psycho-anatomiczny preparat; z każdej uczuciowej, intymnej sprawy ludzkiej — operacja chirurgiczna, której tyle przykładów spotykamy w „Medycynie i Zazdrości” a której wymownym świadectwem w ostatniej książce jest np. śmierć kochanka podczas uścisku miłosnego.

Choromański stale używa tego efektu, przerywając zautomatyzowaną ciągłość pewnych procesów dla wydobycia ich wewnętrznej prawdy. Używa, ale i nadużywa. Gdy jednak w „Medycynie i zazdrości” rewelacja treści psychicznej wynikała z ujawnienia, że tak powiem, fizjologicznych sprężyn duszy, i domagała się odrębnej techniki, w „Opowiadaniach” owa eksploatacja chwytów technicznych, najwyraźniej ciąży na całej powieściowej sprawie, przechodząc w nużąca manierę.

Oświetlanie zjawisk z kilku naraz punktów, nadmierne wyszukiwanie czynnika sugestji, równoległość kilku wątków, wreszcie przerywanie toku narracji w miejscach wyjątkowo emocjonalnych — wszystkie te sposoby, programowo stosowane, czynią wrażenie sztucznych zastrzyków dla spotęgowania pobudliwości czytelnika.

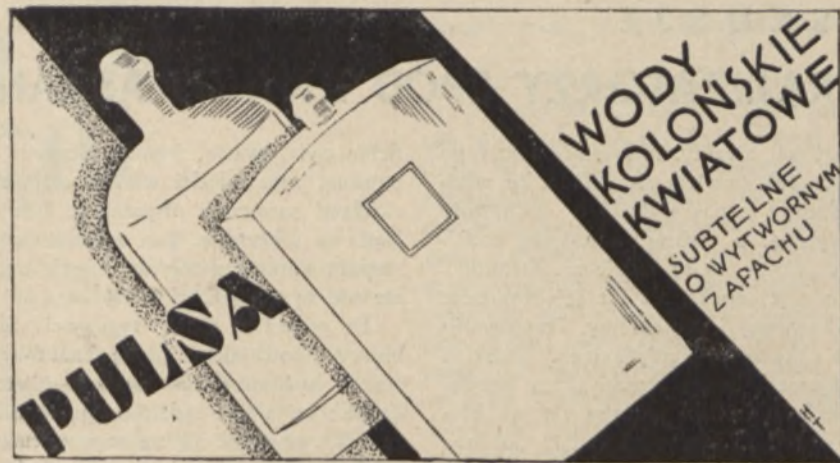
Jest rzeczą zrozumiałą, że nazbyt ryczałtowo aplikowanie tego rodzaju aparatury technicznej następcza duże niebezpieczeństwa, z których najważniejszym jest zjawisko dysproporcji między materiałem a ujęciem. Jakże łatwo bowiem w tych warunkach zamienić namiętność przeżycia na namiętność gry, z owej gry uczynić główny cel utworu, a płodny czynnik rewizjonizmu psychologicznego sprowadzić na manowce deformacji artystycznej.

W nowelach Choromańskiego są momenty, typy, a zwłaszcza sytuacje tak świetnie pomysłane, tak uwodzące w demaskowaniu szabloności duchowych i tak trafne wreszcie w ujawnianiu podświadomych, często groźnych zakamarków ludzkiej pozy, że nie należy ustawać w alarmowaniu młodego pisarza przed manierowaniem się ambitnego i wyrafowanego wysiłku.

Zwróćmy tylko uwagę na oryginalność niektórych motywów ostatnio wydanej książki.

A więc („Opowiadanie banalne”), pełen paradyjnego tragikizmu, romans Anny, która w chwili zmysłowego zniechęcenia do męża zdradza go z gruzlikiem Bronburgiem, aby po nasyceniu swego zmysłowego kaprysu, który kosztował kochankę — życie, wrócić z radością na legowisko małżeńskiego pożycia, do męża niechluj i opilca, zato żywego, ciepłego, bezpiecznego. Jest w „banalności” tego zdarzenia wiele skondensowanej i świeżej literackiej ironji.

Dalej cynizm pani Ewy („Opowiadanie cyniczne”), cynizm, który polega na jętrzeniu rywalizacji między mężem a kochankiem. Cynizm ten, o charakterze chorobliwej erotyczności, znajduje swoje odbicie w utajonej nawiąskowości obydwoh mężczyzn, którzy zazdrość maskują w równie chorobliwej przyjaźni. Dramat miłości i dramat przyjaźni okazuje się objawem podstępnej, choć nieświadomej gry napółbarbarzyńskich, samczyh instynktów we wzajemnym stosunku kobiety i obu mężczyzn. Pomysł, w założeniu ciekawy, niekształcony jednak został natrętnymi domysłami psychologicznymi, przesadnym prze-



planiem opowiadania przez opis i opisu przez opowiadanie, męczącą obfitością wersyj.

Podobnie ma się rzecz z „Opowiadaniem warjackim”. I tu „klimat” psychiczny (rzecz dzieje się w szpitalu dla umysłowo chorych) oddany jest sugestywnie, z wybornym znawstwem wszystkich stopni, wymiarów i „plaszczysz” obłąkania. Należy z całym naciskiem podkreślić, że jeżeli chodzi o tę właśnie dziedzinę naruszonej równowagi duchowej, Choromański jest bezkonkurencyjny. On jeden bodaj w literaturze naszej przeniknął swoistą normalność nienormalnych stanów wewnętrznych, wynikłych z narkomanji, euforji alkoholicznej i zalamanej proporcji między wyobraźnią a życiem realnym. Doskonale również odgadnięta i uwidatniona jest mentalność „wielkiego pisarza”, cała paradyjność jego literackiego pasorzytowania na nieszczęściu ludzkim i całkiem pospolita małość moralna w obliczu toczącego się dramatu. Sam jednak ów dramat ludzki jest literacko nadużyty, przeciągnięty, nazbyt prymitywnie przystosowany dla gry efektów formalnych. Pomijając

pewne nieprawdopodobieństwa, czysto zewnętrzne, sam fakt tragicznej podstępnej wywiezienia chorego do pawilonu dla furjantów, potraktowany został, — albo raczej w „dręczących” dawkach podany — w sposób „smakowicie” i nazbyt już tendencyjnie sensacyjny. Ujęcie tej noweli najwyraźniej świadczy o niebezpiecznym guście do żonglowania drastycznością tematu na rzecz brawurowej — artystycznie mało odpowiedzialnej — wirtuozerji.

Choromański, jako pisarz twórczy, czerpiąc treści z realistycznej materji życia, przetwarza ją na obraz własnej wizji. Często jednak traci on poczucie miary w procesie tych przetworzeń i odrzucając logikę zewnętrznej rzeczywistości życia, odrzuca i logikę wewnętrznej — wizyjnej — rzeczywistości. Powstaje z tego pewne zawieszenie w próżni; autor pozostaje jakby sam na sam z aparatem własnych widzeń, którym brak życiowego oparcia. Wyradza się z tego abstrakcyjna poza, oderwana wartość stylu, przypominającego raczej „czystą” grę wyobrażeń, niż wewnętrzną prawdę nowego obrazu życia.

PORADNIK GRAMATYCZNY

H. Gaertner i A. Passendorfer. Poradnik gramatyczny. Iwów — Warszawa, 1933. Książnica — Atlas.

„Poradnik gramatyczny” opracowany przez p. A. Passendorfera przy współudziale prof. A. Gaertnera, a więc dzieło wytrwałych znawców polszczyzny, mógłby uchodzić za wzorowy podręcznik poprawnościowy, gdyby nie skrajny liberalizm autorów. Gramatyk, a zwłaszcza orędownik poprawności, staje w jawnej sprzeczności ze swem powołaniem, jeżeli popiera formy niedbale, wciągające się z mowy potocznej do języka literackiego. Dopóki formy tego rodzaju walczą o byt, dopóki nie upowszechniły się w języku książkowym, dopóty są błędami. W poczuciu językowym średnio wykształconego Polaka, formy takie jak: ślizgi (przymiotnik), daj mi tą książkę, kaźden, jezdem, umię, wzięść, kaszł, (rozkaźnik) i in., to niewątpliwie błędy. Tymczasem autorowie naogół pobłażliwie odnoszą się do podobnych form, zadowolając się zaznaczeniem ich rzadkości. Tak samo ma się rzecz z formami wyraźnie przestarzałymi, jak: rozwoizły, to album, ten franciszkan, moję, twoję, swoję książkę i t. p. Inaczej kiedyś wyrokował o takich formach sam prof. Passendorfer, pisząc: „kształty wyrazów i zwrotów są niepoprawne, jeżeli wyszły z powszechnego użycia”. Elementarny podręcznik gramatyczny chybiłby celu, jeżeli w wielu wypadkach ogranicza się do stwierdzenia faktów, bez należytego wartościowania ich; za miast pouczać niewprawnych, przyczyni się niechybnie do pogłębienia zamętu.

W świetle osiągniętych wyników błędnie urok metody statystycznej, stosowanej do oceny poprawności form językowych. Posiłkowali się nią autorowie poradnika, opierając się na „przeszło trzystu tysiącach przykładów, zaczerpniętych z dzieł wybitnych pisarzy ostatnich dziesięcioleci”. Zbiór ten zgromadzony pracą prof. A. Passendorfera stanowi bezwątpienia, wartościowy materiał, niepodobna jednak zbudowanych na nim wyliczeń statystycznych uważać za bezwzględny sprawdzian poprawności. Przedewszystkiem wiadomo, że książka drukowana nie jest bynajmniej idealnym odwzorowaniem rękopisu autora, że na jej szatach językową wpływa wydawca, korektor, nawet drukarz, niezawsze zgodnie z zamysłami twórcy. Powtóre najwybitniejszym nawet twórcom zdarzają się poślizgnięcia językowe i stylistyczne. Dal temu

piękne w swej szczerości a zarazem znamienne świadectwo Stefan Zeromski, pisząc w „Projekcie Akademii Literatury Polskiej”: „Podaję te uwagi wie dobrze, iż w jego pisaninach i w tym oto artykule niejedno znalazłoby się do poprawienia”. A są to słowa nie tylko mistrza, ale i znawcy języka.

Liberalizm językowy autorów tembardziej zastanawia i wydaje się być w danym wypadku nie na miejscu, że omawiany podręcznik jest przeznaczony głównie do użytku młodzieży i to nawet uczniów niższych klas szkół powszechnych. Liberalizm ten święci triumfy w kilkowerszowej zaledwie uwadze o wyrazach obcych i zapożyczonych. Trudno o bardziej zwięzłe i ostrożne a w gruncie rzeczy nie mówiące ujęcie zagadnienia. Jakże odmiennie i to od lat ustosunkowują się do tej sprawy niemieckie podręczniki szkolne, chociażby przytoczyć dla przykładu urzędowe przepisy pisowni.

Przyznać trzeba, że układ omawianej książki jest bardzo dobry. Główną wadką jej zaletę stanowią zwięzłe i łatwe do zapamiętania reguły gramatyczne oraz wskazówki praktyczne. W ręku osoby językowo przygotowanej i krytycznej książka może oddać dobre usługi.

Tadeusz Sterzyński

„ZARANIE ŚLĄSKIE”

Wśród czasopism regionalnych zaznacza się dodatnio kwartalnik „Zaranie Śląskie”, organ Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszynie, wydawany pod redakcją I. Brozka. W roczniku IX (1933 r.) zwracają uwagę utwory Orkana, Morcinka i Przybosa oraz artykuły historyczne i historyczno-literackie (m. in. J. Koraszewskiego „Wesele” Wyspiańskiego i poezje W. Belzy „Przed sądem pruskim”, ks. A. Wantuly „Orkan na Śląsku, garść wspomnień”, ks. A. Burka „Dzieje polskości w kościele ewangelickim na Śląsku”). Nie brak też rozważań o współczesnej rzeczywistości Śląska; A. Jesionowski pisze o współczesnej literaturze śląskiej, F. Popiołek o szkolnictwie średnim w województwie śląskim, A. Patkowski zastanawia się nad wzajemnymi stosunkami Śląska i stolicy państwa. Na podkreślenie zasługują wcale obfite materiały ludoznawcze (opowiadania, przysłowia, wierzzenia i gusła, przepowiednie, zagadki) podane w garście, oraz przyczynki do bibliografji pisarzy śląskich. Prenumeratory czasopisma otrzymali piękny dar w postaci przedruku poematu Walentego Roździeńskiego p. t. „Officina Ferrara abo huta i warsztat z kuzniami szlacheckiego dzieła żelaznego” (1612).

T. Sterz.

DYSKUSJE

MORALIZATORZY SPOD ZNAKU ASZANTKI

Temat jest niemiły. Nie mniej należy go poruszyć. Tak bowiem się składa, że właśnie ci, którzy u nas wołają o moralność rygorystyczną, o zwartą, narodową rodzinę (tyle „r”) — to są ludzie z „Aszantki”. Nietylko z jej epoki, ale i z jej otoczenia. Jej wychowawcy i protektorzy. Przypomnijmy sobie komedię Perzyńskiego. Łoński i jego wujaszek, baron Kręcki i ten przyjaciel z którym Łoński spotyka się we Florencji — toć to wszystko ludzie „dobrze myślący”, — wyborcy Dmowskiego do Dumy. Ta sfera, to środowisko. Zapewne, powie ktoś, nie z samych składało się ono Łońskich. Prawda. Jak w każdym środowisku, nie brakło tu ludzi zdolnych, pracowitych, po swojemu dobrych synów ojczyzny. Ale właśnie in puncto Aszantki front był na podziw jednolity. Lekko duchy tem się różniły od „wzorowców”, że działały naoslep, trwoniły majątki, zamiast potraktować epizod Aszantki jako epizod, którego się nie miesza do życia „serjo”. Dzielni obywatele postępowali inaczej. Aszantka — Aszantką, a życie — życiem. Petersburgskie czy warszawskie „szantany” (willa Rodé) zbierały „pięć temperamentu”, „odprowadzały” energię — wychodziło się stamtąd lżejszym, „czystszy” — do pracy obywatelskiej. Nie ironizują, mówiąc to. Ostatecznie i to jest pewien system. Gdzieś tam w zakątkach wiejskich tkwiły (raczej wśród mniej zamożnej szlachty) okazy patryjarchalne, ojcowie rodzin, przekonani, wierni, niezłomni. Ale to byli ludzie zahukani, bez wpływu na „bieg spraw”. To co było serjo, co stało na świeczniku — to byli ludzie z „Aszantki”, raz lekkomyślni i nieobliczalni, to znowu stateczni i opanowani.

A może to była poprostu zgraja libertynów, wyśmiewających cnotę? O nie. Nawet przeciwnie. Frazes patryjarchalny był w postanowieniu. Zył sobie równolegle z „trybem Aszantki”. Ani on jej nie przeszkadzał, ani ona jemu. Najłatwiej taki stan rzeczy określić mianem obłudy. Ale mnie się ta formuła wydaje zbyt prosta. Wchodzi tu raczej w grę pewna „wielkość rzeczywistości”, by użyć terminu Chwistka. Wiemy np., że Katarzyna II, której nikt dotąd nie przypisywał surowości obyczajów, była niezmiernie wrażliwa na każde słowne uchylenie etykiety; raz poseł francuski opadł w nieładną cezarzowej za jakąś zbyt swobodnie w jej obecności opowiedzianą anegdotę. — Coś podobnego zachodzi, zdaje się i tutaj. Ale mniejsza o to, w jaki sposób ci panowie kojarzyli tak rozbieżne ideały, jak udawało się im być jednocześnie mecenasami „Aszantki” i głosicielami zasad patryjarchalnych. Dość, że tak było.

W dzisiejszej walce o nową moralność protektorzy Aszantki stanęli po stronie maksymalizmu, po stronie rygoru, niezłomności, — po stronie „Sparty”. — I to jest jedna grupa mecenasów nowej moralności — przyjaciółowie Aszantki.

A dalej? — Pokolenie pośrednie — ludzi dziś dobiegających czterdziestki. Powiedzmy sobie bez ogródek — choć to przyjemne nie jest — że i to pokolenie również nie bardzo się nadaje do głoszenia hasel rygorystycznych, antyindywidualistycznych, „gromadzkich”. Bo choć doświadczone ciężkimi przejściami czasu wojennego i powojennego, w swych naturalnych reakcjach — a to przecie rozstrzyga — niewiele czem różni się od pokolenia Łońskiego. Życie mieli bardziej udramatyzowane. Ci wśród nich, których wojna mocno szarpnęła, są zapewne elementem bardziej hartownym, jedną nogą należą do „nowego świata”. Ale nie oni przecie będą budowniczymi nowej moralności. Nie myśleli o niej. Naturalny bieg wypadków zepchnął sprawę na plan dalszy — rozwiązywała się „sama”.

Pozostaje pokolenie najmłodsze. Jest bardzo dziś modnie mówić o radykalnej różnicy pomiędzy młodymi a starymi. Ze o ile starsze pokolenie tkwi w liberalnym indywidualizmie, o tyle młodsze odsuwa sprawę szczęścia osobistego, dając pierwszeństwo interesowi zbiorowości. Przez to samo moralność obiegowa, obyczaj, nabierają innego rzekomo charakteru. Nie użycie jednostki decyduje, ale interes społeczny. A że w interesie społeczeństwa jest, aby ro-

dzina była zwarta, monogamiczna i stabilizowana, więc młodzi właśnie stają się głosicielami surowości obyczajów. Tak to wygląda w schemacie. Ten schemat w dużym stopniu sprawdza się w innych narodach, ale nie w naszym.

Bo gdzież są ci nasi rygorysty? Skąd się biorą? Spod jakich płyną znaków? Czy ma to być młodzież szczerze katolicka? Trudno mi o tem sądzić bezpośrednio. Mogę tylko powołać się na zapewnienia osób, którym ufam, że takie grupy młodzieży w Polsce istnieją. Zetkną się z nimi niełatwo. Spotykałem zwykle katolików politycznych dla których kościół był nietyłe wiodem duchowym, ile wygodnym sprzymierzeńcem. Ale przypuśćmy, że takie grupy istnieją. Są w każdym razie nieliczne, a wpływ ich na ogólny bieg życia — znikomy.

A pozatem? — Tak zwana „młodzież narodowa”? Dalibóg, ani ja ani nikt w Polsce nie widział, żeby właśnie spośród niej (przeważnie zamożnej burżuazji) rekrutowali się młodzieńcy o skłonnościach do życia skromnego, pracowitego, zeniący się w dwudziestym roku życia i płodzący liczne potomstwo, stroniący od zabawy, no i wszelkiej lekkości obyczajów. Już samo przypuszczenie jest tak dalece humorystyczne — że więcej można na ten temat nie mówić.

Z tego pobieżnego przeglądu wynikałoby niezbitnie, że w Polsce niema znaczącej grupy ludzi, nadającej się na awangardę moralności rygorystycznej. Poprostu ta moralność nie ma na kim się oprzeć. Nie chodzi mi tu o wytykanie obłudy. Obłuda — to sprawa sumienia ludzi, którzy ją uprawiają. Niekiedy nabiera cech masowości i wtedy należy ją wytknąć. Ale jest rzecz ważniejsza. Oto każda ideologia wtedy tylko ma szanse realizacji, kiedy znajduje oparcie w głęboko nurtujących prądach społecznych. Jeśli takich prądów niema — ideologia pozostanie postulatem papierowym.

I tak jest właśnie z ideałem „surowej moralności”, głoszonym przez pewne ugrupowania polityczne.

Na tem stwierdzeniu nie chcę jednak poprzestać. — Często jest bowiem zdarza, że głoszone hasło choć nie wyraża ściśle tego, co jest jego treścią „oficjalną” — odsłania swoje właśnie podłoże, swoją prawdziwą głębszą treść. Otóż mam wrażenie, że ten ukryty ideał, który przemycą się pod etykietą moralności patryjarchalnej jest zupełnie inny. Ludzie którzy go głoszą, są właściwie wyznawcami patryjarchalnej i „zwartej” rodziny — przy pozostawieniu daleko idącej swobody obyczajowej mężczyźnie i tak zwanej „kobiecie wolnej”, co w ich pojęciu pokrywa się mniej więcej z prostytutką. To jest ich moralność właściwa. Czyli znowu wracamy do epoki „Aszantki”. Z tą różnicą, że hasła patryjarchalne bierze się bardziej serjo, że się o nich mówi więcej i z większym przejęciem, że się z nimi wiąże większe i realniejsze nadzieje.

Nie będę poddawał krytyce tej moralności. Zbyt dalekoby to nas zaprowadziło. Niewiele mnie też obchodzi, że taka moralność jest solą w oku feministek i feministów, gdyż sam feministą nie jestem.

Chodzi mi o inną, groźniejszą jej konsekwencję. Oto, proszę sobie wyobrazić, jak wyglądałby kraj, w którym faktycznie panuje moralność z epoki „Aszantki”, a który oficjalnie przyjmuje prawa odpowiadające ideałom patryjarchalnego rygoryzmu. Obłuda społeczna stałaby się wtedy już nie sprawą prywatną, ale regulą, na której cały system — zbyt rażąco kłócący się z rzeczywistością — skrzyłby kark.

Oto przesłanki, które skłoniły mnie do wysunięcia (w moim artykule: „Jeszcze raz — życie ułatwione”) postulatu liberalnych praw obok silnego nacisku moralno-wychowawczego na obywatela. Tylko w tym systemie dążność narodu do poprawienia swej moralności i pchnięcia jej na właściwe tory znajduje właściwy wyraz.

Stanowisko to narazem jest na jeden zarzut, który należy odeprzeć. Oto powiedzą, że taki nacisk wychowawczy przy prawodawstwie liberalnym jest za słabą bronią,

że tylko prawo obowiązujące wszystkich, z całym aparatem sankcyj karnych, może zapewnić wcielenie w życie ideałów, moralności nowej, społecznej, przeciwstawiającej się moralności liberalistycznej.

Nic fałszywszego. Prawo obowiązujące ogół obywateli zawiera reguły porządku społecznego, a nie reguły moralności. Prawo nie nakazuje reagować na zniewagę, ani domagać się w jakiegokolwiek formie zadośćuczynienia honorowego. A jednak wiemy, jak silny jest nacisk społeczeństwa na człowieka, któryby z tej pozostawionej mu przez prawo wolności skorzystał. Innymi słowy, nakaz moralny, nie poparty sankcją prawną, lecz płynący z samego społeczeństwa, ma autorytet wyższy od nakazu prawa. Przez analogię wolno sądzić, że moralność społeczna, pozostawiona pieczy nie prawa, lecz społeczeństwa, znalazłaby w niem pewniejszą, niż w prawie, ostoję.

Coprawda, istnieje inne jeszcze wyjście, to mianowicie, które znalazły Sowiety i Niemcy hitlerowskie: utożsamiać prawo z

moralnością, nadać jego przepisom, nie jak było dotąd, charakter czynnika regulującego ład społeczny w sposób niejako mechaniczny i bezosobowy, ale uczynić z tych przepisów nakazy moralne, którym przyświeca pewien ściśle określony ideał. Ale w takim systemie, gdzie moralność staje się nakazem a honor musem, gwarantowany sankcjami karnymi, gdzie poddaje się kontroli prawnej całe nasze życie, włącznie z temi jego dziedzinami, które uważaliśmy za zawarowane przed czyjmkolwiek wejściem — nie stałoby, prawdę mówiąc, miejsca... na moralność. Honor zagrożony sankcjami karnymi nie jest już honorem. Wprowadzenie „moralności” do prawa nie jest w istocie umoralnieniem prawa, ale kapitulacją z wszelkiej moralności, manifestacyjnym wyznaniem niewiary w moralność, która albo jest, a wtedy jest moralnością człowieka wolnego, albo niema jej wogóle. Polska jest ostatnim — na szczęście — narodem, w którym taka rewolucja prawno-moralna byłaby możliwa.

J. E. Skiwski

WYSTAWA KSIĄŻKI POLSKIEJ

W jednym z najpoważniejszych miesięczników włoskich „L'Europa Orientale” znajdujemy rewelacyjne uwagi znanego polonisty włoskiego, prof. E. Damiani na temat naszej wystawy. Uwagi te, powiedzmy sobie to szczerze, mimo wyrażonych na wstępie słów uznania ze strony publicysty włoskiego zarówno dla samej wystawy, jak i jej inicjatorów, są niemniej poważną, choć zyczliwie pełną krytyką — i nie krytyką gołosłowną, a popartą na miejscu dowodami.

Krytyka p. Damiani wypływa, jak to sam zaznacza, z gruntownego przestudjowania katalogu wystawy, który zdaniem jego, wykazuje poważne braki, o ile chodzi o dział włoski wystawy. P. Damiani przyznaje, że dział ten zawiera pokaźną ilość tomów, tłumaczonych prawie wyłącznie przez Włochów, co stanowi najlepszy dowód wzrostu zainteresowań dla studiów polonistycznych na terenie Włoch, jak również dla kultury i literatury polskiej w ogólności, stwierdza jednak kategorycznie, że katalog nie daje całokształtu włoskiego dorobku literatury polskiej. Ilość dzieł pominiętych, pisze p. Damiani, jest znaczna, co więcej jednak, że nie tylko wysoka liczba niezamieszczonych prac, ale i poziom ich oraz imiona autorów — mogły być poważnie podnieść wartość wystawy, dając istotną skalę ekspansji książki polskiej zagranicą, a dorobku włoskiego w szczególności, który jest bezwzględnie jednym z najpoważniejszych, w ogólnym bilansie tłumaczeń literatury europejskiej.

Braków tych, twierdzi autor, można było uniknąć, przez zasięgnięcie informacji bądź to u któregoś z polonistów włoskich, bądź przez dokładne przestudjowanie jednej z bibliografii włoskich, jak np. „La Guida Bibliografica della Biblioteca dei Maestri Italiani, III ed. 1932” — czy też może jego własnego studjum, wydane w r. 1930 w Krakowie przez „Archivium Neophilologicum” p. t. „Gli studi di lingue et litterature Slave in Italia”.

Podajemy za autorem, przytoczone przez niego poważniejsze brakujące wydania, które będą mogły posłużyć jako cenna wskazówka dla podobnej wystawy w przyszłości.

Adam Mickiewicz. Scritti e traduzioni di A. Begey, M. Bersano Begey, E. Damiani, etc. („Quaderni della Rivista di Cultura” Nr. 1, Roma, Maglione et Strini, 1925).

Jeske-Choiński J. Tiara e corona. Tłumaczenie F. Verdinois. Napoli. Jovene, 1903.

Cieszkowski A. Padre nostro. Tłum. Arturo Palmieri. Bologna, Zanichelli 1923.

Kasprowicz Jan. X'anno di San Francesco d'Assisi. Tłum. Ettore Lo Gatto. Roma. Ist. per l'Europa Orientale, 1926.

Kociemski L. L'Abisso. Dramat. Milano. Caddeo, 1921.

Reymont Wł. Terra promessa. Tłum. Maffezzoli. Milano. Il Genio, 1933.

Reymont Wł. I contadini. Tłum. Aurora Beniamino. Vol. III et IV. Firenze. Unovissima, 1931.

Begey M. Kolendy Polskie. Torino 1931. Illakowiczówna K. Storia del Martire di Mosca. Tłum. M. Bersano-Begey. Torino, Convivium 1931.

Brückner A. Mitologia slava, ze wstępem oryg. autora. Tłum. z polskiego Julia Dicksteinówna. Bologna, Zanichelli, 1923.

Słowacki J. Kordjan. Mazeppa. Staraniem Clotilde Garosci. Torino, U. T. E. T. 1932.

Berent W. Pietre viventi (Frammento). Tłum. E. Damiani. Roma, Au. Rom. Ed. 1926.

Sienkiewicz E. L'organista di Ponikla. Tłum. M. Karklina. Torino, Slavia 1932.

Loret M. Gli artisti polacchi a Roma nel Settecento. Wstęp C. Ricci. Milano — Roma, Besteffi e Tumminelli 1929.

Quaderno polacco (wybór tłum. poprzedzony szkicami biograficznymi od Asnyka do Tetmajera — staraniem Giulia Dicksteinówna). Lanciano, Pappacena, 1927.

Oto szereg istotnie poważny. — I gdyby przyjąć nawet mało prawdopodobne przypuszczenie, że książki te zostały zupełnie wyczerpane i były nie do zdobycia żadną inną drogą, to można je było zamieścić w katalogu z odpowiednią adnotacją. Oto refleksja, która nasuwa się mimowoli, życzyliwa raczej nie krytyczna, wiemy bowiem o ile łatwiej jest wskazać niedomagania niż ich samemu uniknąć.

J. K.

DODATEK POLSKI „BERLINER TAGEBLATTU”

Przedemną leży dodatek polski „Berliner Tageblattu” z dn. 24 lutego b. r. — pierwszy tego rodzaju chyba od czasu, gdy pismo to w r. 1907 ogłaszało niemiecki przekład noweli Cyprjana Norwida p. t. „Garstka Piasku” (Eine Handvoll Sand).

Przeczytałem dodatek od deski do deski, mimo, że normalnie wzdrygam się na widok więcej niż stu wierszy pod jednym tytułem, co jak twierdzi administrator „Pionu” jest zwykłym objawem 99 proc. współczesnych czytelników, niedocenianych przez 99 proc. autorów. Przeczytałem sumiennie, bez cienia przymusu, ni znużenia, ośm gęsto zadrukowanych szpalt. Jednym tchem — do ostatniego: „Verantvortlich: A. H. Zeiz, Berlin — Wilmersdorf”. Dziwne — choć zdecydowanie przyjemne uczucie.

Zaczyna dodatek p. Al. Guttry zwięzłą pięknie przeprowadzoną paralełą „Zeromski und Reymont”, w której „Polen” mieni się i odmienia w każdym niemal wierszu. Następnie „Diskuswerfer” Wierzyńskiego w przekładzie p. J. H. Mischel'a — i znakomicie dostrojony do ogólnego diapazonu artykuł, powiedzmy, pejzazowy R. Herrstadt'a, którego motto: „Boden, den man gar nicht oder leidenschaftlich liebt” — najlepiej mówi o barwie i atmosferze artykułu.

Dalej „Hundert Jahre” naszej literatury przez autora, którego imię przemilczam, bo gotów mi puścić mi tych trochę wierszy po niższej cenie — artykuł pozatem najmocniejszy, choćby przez finał sam, w którym najcięższe zagadnienie współczesnego człowieka i obywatela państwa, stawia autor, jako zadanie do rozwiązania idącym dniom.

Potem pod czteroszpaltowym tytułem Kaden-Bandrowskiego — Józef Pilsudski — niezwykle, choć u nas znany z „Pilsudczyków” — „portret”, w którego przekład, zmierzający do zachowania oryginalnego stylu autora, tłumacze włożyli wyraźnie wiele wysiłku.

Wreszcie idylliczny: „Wechsel und Rhein” J. Iwaszkiewicza — poemat o wielkiej piękności i sile — o większej jeszcze ufnosci, czy wierze że: „Neuer Ocean strömt herbei — und neue Zeiten.”

Von Wein schwillt an der Rhein — die Wechsel von Weizenähren”.

Verantvorther: A. H. Zeiz, Berlin — Wilmersdorf”.

Siedzę oto pochylony nad stołem — milczę — i jest mi chyba przyjemnie.

J. K.

Na scenach EMERSON PO LATACH PIĘCDZIESIĘCIU

„Szkoła Podatników” — komedia w trzech aktach, Ludwika Verneuil'a i Jerzego Berr'a. Przekład Bolesława Górczyńskiego. Reżyserja Zbigniewa Ziemiańskiego. Dekoracje Stanisława Jarockiego.

Autorzy „Szkoły Podatników” starali się zdobyć dla swej sztuki jaknajbardziej aktualny temat; kwestję kryzysu ekonomicznego i związaną z nim sprawę śruby podatkowej. W to wszystko wpleciono zagadnienie uczciwości urzędnika i do znudzenia plątający się po scenie problem wierności małżeńskij.

Wszystko razem daje farsę miejscami zabawną, niekiedy znów denerwującą naiwnościami i czysto operetkowym ujęciem rzeczy. W pewnej chwili wchodzi na scenę (do salonu) bogaty starowina la Chapelaude w lakierkach z łopata na ramieniu. Jest to mało wzruszające a w każdym razie bez wielkiego sensu. W innym znów miejscu mamy przyjemność poznać mało ciekawą postać wyperfumowanego poety, który ma własną wille, dużą rentę w dolarach i łódkę, na której próbuje uwodzić cudze małżonki. Jest kryzys, urzędy podatkowe zakreślają śrubę, wydawałoby się zatem, że społeczeństwo zagrożone się niechybnie w niedostatek, a tymczasem wychodzi z tej farsy co innego. Julia Valtier, której mąż jest darmozjadem i leniem, wydaje dziesiątki tysięcy na kapelusze, jej wielbiciel Chapelaude jednym pościąganiem pióra wyrzuca 220 tysięcy franków. Nawet poeta, o którym wspomnieliśmy ma wille i dolary. Rzecz nie do wiary, ale wydaje się, że i skarb państwowy rośnie od napływającego grosza, bo zapobiegliwy naczelnik urzędu podatkowego Emil Fromentel potrafi wydusić z każdego obywatela pieniądze.

Gdzież więc jest aktualność satyry, skoro autorom własny ich pomysł w ostatecznym opracowaniu się wypaczył. Gdzie jest ten kryzys podatników, z którym ma walczyć „Szkoła Podatników”. Nawet o jedynym przedstawicielu świata podatników Alfredzie Menu dowiadujemy się, że mu się wcale dobrze powodzi a tylko stara się ukryć nieznane rządowi dochody.

Tylko jedyna osoba w tej sztuce Gaston Valtier jest bez grosza, ale winne temu nie podatki, tylko jego wrodzona natura. Jest to leń i niedojda. Na nim dopiero pokazują nam autorzy sprytniejsze chwyt satyryczne. Valtier przyciśnięty brakiem gotówki wpada na pomysł zorganizowania biura pomocy dla podatników. Ta bratnia pomoc nazwana „Szkołą Podatników” przynosi mu kolosalne dochody. Tu jest cała satyra sztuki. Człowiek dawniej bezużyteczny, niefachowy a nawet możnaby powiedzieć, do pewnego stopnia niedołąga życiowy, jest jeszcze dostatecznie sprytny, aby wyprowadzić w pole francuskie władze podatkowe, a nawet tak dalece przetrząść dochody z kasy skarbowej do swojej, że potem wynikają z tego dymisje ministrów.

Taka jednak papierowa łatwizna odwracania losu i zdobywania złotego runa nie znajduje u widza wiary i między innymi dzięki niej także sens sztuki balansuje na pograniczu znanych nam dobrze skeczów o podatkach i farsy.

Zespół artystyczny Teatru Letniego podkreślił w sztuce dowcip i zabawność sytuacji, stworzył małą kolekcję niezłych typów, przyczem wyróżnił się przed innymi Kurnakowicz i Fertner. Panie Lindorfówna i Jarbowska stworzyły dobre sylwetki z niezwykłych zresztą ról a pp. Wesolowski, Michalak i Hnydziński wydobyli co się dało z tej, sprytnie może nawet skomponowanej, ale mimo to mało wartościowej sztuki.

M. R.

„INFORMACJA PRASOWA POLSKA”

Jedynie od lat 15-tu w Polsce biuro kontroli prasowej, widzi w prasie, czyta i wycina z niej wszystko, co interesuje jej abonentów.

Wycinki z gazet i czasopism — to najlepszy przegląd prasy w każdej sprawie.

Adres biura „Informacji Prasowej Polskiej”, Warszawa, Bracka 5, w lokalu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich (tel. 9-1153).

W wieku XIX nie sama Europa zawróciła do idealistycznych prądów kultury. Z pewnym opóźnieniem poszła w jej ślady również Ameryka, która pierwsze pół wieku niepodległej egzystencji politycznej poświęciła umacnianiu materialnych podstaw państwowości. Co w krajach po tej stronie Atlantyku reprezentowali filozofowie niemieccy, wskrzeszone irracjonalne teorie starożytności i romantycy angielscy, to na grunt Nowego Świata, przeszczepili ludzie skupieni dokoła bostońskiego środowiska kulturalnego. W Nowej Anglii, od zarania kolonizacji skupiły się jednostki, mające zmysł dla spraw ducha w odróżnieniu od bogatych, niewolnictwo i business uprawiających Stanów południa, które do dziś dnia nie odegrały wybitniejszej roli w umysłowym życiu Ameryki. Ralf Waldo Emerson był duszą bostońskiego ruchu transcendentnego, który miał zmienić na jakiś czas duchowe oblicze kraju. W dziedzinie myśli i twórczości poetyckiej stał się Waszyngtonem swej ojczyzny, rewelacją, siłą, która jarmarczny rydwan życia skierowała ku gwiazdom. Wstrząs, którego współcześni doznawali pod wpływem jego pism, był głęboki, długotrwały i rozległy. Przez pół wieku stanowił mędrzec z Concord wyrocznię, powagę, dokoła której zbierali się najpoważniejsi przedstawiciele umysłowości amerykańskiej. Whittier, Longfellow, Lowell, Thoreau, a inni to tylko iskiery w porównaniu z jego potężnym światłem. Whitman po przeczytaniu jego Szkiców przedzierzgnął się z dziennikarza i ubogo zapowiadającego się wierszopisa w natchnionego piewca Ameryki, w myśliciela, obejmującego swoją wizją cały kosmos, inne, istotnie, jakby transcendentalne siły wstąpiły w niego, w zetknięciu się z tym niezwykłym ekspastorem, który wyrzekł się piastowanego urzędu kościelnego, żeby móc bez skrupowania rozszerzać horyzonty swoich myśli.

Nie był on w ścisłym znaczeniu filozofem, nie stworzył żadnego systemu, nie próbował ująć swoich rozmyślań w jedną organiczną, luk nieznaną całość, lecz szczerość przekonań, wiara intuicyjna, od początku do końca z równą intensywnością wyznawana, porywała innych. Pomocny był mu w tem szczęśliwy dar ekspresji, bogactwo obrazów i umiejętność szeregowania ich w łańcuchy, wzajemnie się umacniające, w czytelniku budzące entuzjazm. Na kontynent amerykański dostawały się przez medium Emersona dobra kulturalne, zdobyte przez tysiąclecie pracy umysłowej nad kotłnią śródziemnomorską: cena ludzkiej jaźni, najwyższe opanowanie natury, przejawiające się w wyższości, przypisywanej człowiekowi, w zrobieniu z człowieka centrum wszelkich zainteresowań.

Ameryka nie poszła torami, wskazanemi jej przez Emersona. Jeśli gdzie, to po drugiej stronie Oceanu święcił orgie jaskrawego materializmu, usymbolizowany w dolarze i prosperity. Szereg wielkich pisarzy, protestujących dziś przeciw ustandaryzowanemu, niskiemu poziomowi duchowego życia Ameryki, wywodzi się z Emersona. Oficjalnie zasady jego są uznane, imię jego wyryte na ścianach panteonu narodowego, ale hasła zostały czczemi hasłami. Umożliwiło społeczeństwu taką postawę wobec woda zachowanie się Emersona, który będąc w duchu jednym z najradykałniejszych rewolucjonistów, posuwającym się do zaprzeczenia istoty zła, nieśmiertelności jaźni osobniczej i innych dogmatów systemów spirytualistycznych, zachował w życiu kantowską mieszczańską, umiar i maniery purytanina, zupełny brak uzewnętrznienia swoich światoburczych przekonań. Przyczyną naturalną tego jakby rozdwojenia się, dualizmu osoby Emersona była jego niska pobudliwość seksualna, chłód północy, odziedziczony po szeregu przodków — duchownych, nałóg przeżywania siebie mózgiem, intuicją i abstrakcją a nie impulsami. Na to ubóstwo swej natury, niezdolnej do miłości zmysłowej i przyjaźni, skarży się on niejednokrotnie w swym Dzienniku. Jakimż w tym względzie jest Emerson antypodą młodszego od siebie Walta Whitmana, który unikając

wszelkich uogólnień, wyrażał się i żył jedynie konkretem, zmysłami, przeczuciami, mi się dość wyraźnie w seksualizm anormalny.

Polska uczciła pięćdziesięciolecie śmierci Emersona nader godnie wydaniem jego Szkiców^{*)}. Dwa zasłużone nazwiska rzuciły na szalę swój autorytet, żeby mu utorować na dobre drogę do społeczeństwa. Nie jest łatwą lektura essayów Emersona, które razem wzięte mają coś z nieuchwytności życia i natury. Gdziekolwiek bądź można do nich podejść, nie zaczynając się jakby nigdzie i nie kończąc nigdzie. Krytycy amerykańscy, jak świeżo Ludwik Lewisohn, radziłyby widać z pośród nich raczej wypisy, wyciągi aforyzmów, z zachowaniem w całej rozciągłości takich unikatów jak szkic o Poleganiu na sobie i o Poezji, resztę uważając za dłużyne i — niejednokrotnie — przysy-

*) Ralf Waldo Emerson, Szkice. Przełożył i skomentował Andrzej Tretiak, przedmowę napisał Artur Górski, Warszawa, 1933. Instytut Literacki, stron 391 i 3 nb.

TO I OWO

„Wiadomości Literackie” poświęcają nie małą całą kolumnę sporom językowym. W Nr. 537 zamieściły grupę artykułów pod ogólnym tytułem „Spory językowe”, zawierających ciekawe i pożyteczne uwagi kilku autorów na temat bogactwa polszczyzny. Wybiła się doskonale napisany artykuł Z. Weyberga p. t. „Zwyrodnienie polszczyzny współczesnej”. Autor protestuje przeciw laboratoryjnemu stosunkowi do języka, przeciw bezkrytycznemu przyjmowaniu każdego nowotworu językowego, choćby najdziwniejszego pod pretekstem „naukowości”, nakazującej rzekomo bałwochwalcy kult. t. zw. „faktów językowych”. Weyberg broni praw języka do naszej pieczy o jego normalny rozwój. Wytykając przeraźliwie zachwaszczanie polszczyzny różnemi nieraz ohydniemi naleciałościami, piętnuje zwłaszcza zupełnie bezsensowne używanie przysłówek „względnie”, przypominając czasy panowania w „prozie” kancelistów galicyjskich słynnego „takowego”.

(i.)

Nr. 538 tegoż tygodnika w bardzo dowcipnie prowadzonym kąciku humorystycznym p. n. „10 lat temu” zamieszcza wieść, która niewątpliwie wstrząśnie naszym światem literackim. Oto okazuje się, że dziesięć lat temu jakimś panu Bukowskiemu bardzo się spodobały „cierpkie słowa” (??), którymi pan Słonimski również dziesięć lat temu obdarzał publiczność warszawską. Pomyśleć tylko że gdyby nie nadzwyczajna skrzętność Redakcji „Wiadomości”, nicbyśmy o tym wiekopomnym fakcie nie wiedzieli! — Kącik humorystyczny „Wiadomości” rozwija się wspaniale. Jest nadzieja, że już nieza długo będzie mógł konkurować z najcenniejszymi stronicami słynnych „Wspomnień” barona Kronenberga.

ZŁOŚLIWE FIGLE

Rozmowa z p. Grubińskim — spoczątku zabawna, kończy się dość żałośnie. Dopóki uprawiał sztuki akrobatyczne dokoła wyłapanych z całosci zdań — można się było uśmieać i z niego i z siebie samego. Tak, zabawnie wyglądały pewne wyrażenia, wydatne z kontekstu. Gdy jednak p. Grubiński poczyna sobie „rzeczowo” — czuję się wyraźnie zawstydzony. Gdy ja stwierdzam, że jest rzeczą nierzetelną na podstawie kilku spreparowanych zdań osądzać całość, mój przeciwnik rozdziera szaty, że przecie nie może zacytować trzystu kilkudziesięciu stronic.

Naiwność, wolta, obliczona na galerię, czy tylko taki poziom intelektualny? Jak słusznie tedy zauważył p. Grubiński, zaniechałem z nim rzeczowej dyskusji, bo jest — zgodnie z jego zdaniem — beznadziejna. P. Grubiński jest zabawnikiem i zeruje sobie na cudzej książce dla feljetonowej uciechy.

Niech się cieszy. Po śmiechu jego poznać go... Jak wygląda taka zabawa w wyszukiwanie kamyków i rzucanie ich w całość pracy — usiłowałem niemal pogładowo zademonstrować p. Grubińskiemu na jego własnej skórze, przeprowadzając „analizę” an temat „poglądów, które nie są strusiami” lub światopoglądu Perzyńskiego, opartego nie na wyglądającej chusteczce do nosa, lecz na wyglądającym termometrze...

Zaznaczone zdania są, delikatnie mówiąc, całkiem śmieszne, ale bynajmniej nie zmniejszają mojej opinii o stylu p. Grubińskiego.

pywanie węgla żarzących zastygłym popiołem.

Zbiór polski nie jest coprawda całkowicie, na dwadzieścia szkiców pomieszczono w nim piętnaście, opuszczając niestety także Poetę, może dlatego, że dostępny on jest gdzieś indziej w przekładzie Jana Kasprowicza. Wynagradza niepełność tytułów szczegółowie utrafony, w miarę ożywiony, w miarę przygaszony, prawie kongenjalny wyraz polskiego tłumaczenia. Rolę idealnej egzegezy spełnia pięćciokusowy Wstęp, nawiązujący do wpływu, wywartego przez Emersona na Mickiewicza w okresie wykładów paryskich, dający sylwetkę duchową epoki i pisarza, zatrzymując się szczegółowo przy najważniejszych cechach życiowych mędrca z Concord, jak subiektywizm i indywidualizm, człowiek i natura, dobro i zło, egotyzm i kult jaźni, chrześcijaństwo. Bez wątpienia najważniejsza to polska rozprawa o Emersonie, zawierająca w resumé szereg zastrzeżeń o akcentach osobistych, czerpanych z przeczytanych doświadczeń religijnych autora.

Stosunek Emersona do Mickiewicza znajduje w najbliższej przyszłości analityczne oświetlenie w dysertacji miss Clark, tłumaczki „Protesilaosa” Wypiańskiego, krakowskiej stypendystki amerykańskiej, badającej ideologię poety polskiego i myśliciela amerykańskiego. Stanisław Helsztyński

Dobry żart — tynfa wart! — „Wiadomości” zarobiły na tego tynfa rzetelnie. W nrze 11 — przytoczyły artykuł p. J. E. Skińskiego zamieszczony w początku sierpnia zeszłego roku w „Tygodniku Ilustrowanym”. Artykuł ten, będący jednym z etapów polemiki między p. Skińskim a Piaseckim, pisany był na dwa miesiące przed powstaniem „Pionu”, w czasie, gdy pismo nasze projektowaliśmy dopiero, i nietylko cała prasa dawała nam inne tytuły, ale i my sami inny tytuł zamierzaliśmy sobie wziąć. „Wiadomości”, cytując ten artykuł obecnie, uczyniły to tak, że każdy czytelnik nie znający daty, od której „Pion” zaczął się ukazywać, z łatwością przyjdzie do wniosku, że p. Skiński dosyć cierpko i przykro pisze — nie o „pionie ideologii” obozu p. Piaseckiego, lecz o tym samym „Pionie”, w którym współpracuje. Nieporozumienie rzeczywiste nie do uniknięcia, a złośliwość świadcząca o wysokim poziomie kwalifikacji... archiwalnych.

Kwitujemy z uznaniem. (a. ch.)

A propos humorystyki — A.B.C. drukuje powieść, jeśli to można tak nazwać, która sprawia nam dużo rzetelnej uciechy. Tytuł tej powieści „Więzy”, jeżeli chodzi o humor tkwi on dopiero w tekście utworu. „Niemy, zagarnąwszy ziemię polskie, będą zapewne chcieli wydobyć (!) z nich nieziera”. Albo takie uroczę zdanie: „Tylko Minejo siedział nieco (!) odosobniony i chmurny. Widząc to, pani domu uznała za stosowne pożałować (!) ku niemu, nie szczędząc po drodze (!) gościnnych zwrotów i uprzejmych wykrzykników”. — Poziom, konstrukcja „psychologia” i twórca polot „powieści” ściśle w stylu tych pięknych zdań. Rozumiemy, że A.B.C. ma swoje rasowe uprzedzenia i że chciało koniecznie mieć powieść rasowego pióra. Ale przecież jest w Polsce tylu Żydów, piszących znacznie lepiej. (j)

Ja chciałem tylko wykazać p. Grubińskiemu wytworność zaincynowanej przez niego metody. Niestety, nie rozumiał. Nie rozumiał, że nie chodzi mi o obronę książki, tylko o wykazanie, że ta jego metoda jest moralnie wątpliwa, czyli poprostu mówiąc podstępna.

Odmawiając z tego powodu p. Grubińskiemu kwalifikacji krytycznej, nie zaprzeczam jego wartości, jako beletrysty i stylisty. P. Grubiński, cytując odnośny pochwalny ustęp o jego stylu z mojej książki, „zapomniał” tylko dodać (to jego obyczaj: wyrzywa zdanie i przerywa myśl), że w dalszym ciągu owego ustępu najwyraźniej napisałem, że pomimo tych formalnych zalet, nie uważam p. Grubińskiego za pisarza głębokiego. I mam wrażenie, że nie jestem w tej opinii odosobniony. Nie znaczy to — powtarzam raz jeszcze — iżby w dziedzinie lekkości wysłowienia nie był prawdziwym światowcem.

Co się zaś tyczy ścisłości cytata, to niestety, zapewnienia mego oponenta nie są zgodne z prawdą (np. w zdaniu wyrwanem na str. 136 dodał słowo).

Na końcu wypadła mi wyrazić nadzieję, że redakcja „Kunjera Warszawskiego”, która dała dowód dużego zainteresowania moją książką i tyle miejsca poświęciła podjąłowemu ukąszeniu p. Grubińskiego, zechce powierzyć komuś znającemu się na rzeczy ostateczne i uczciwie już zdemaskowanie wartości całej mojej książki.

Leon Pomirowski

LISTY DO REDAKCJI

WYDAWCA CZY MECENAS?

Szanowny Panie Redaktorze!

Pan Marjan Szeinsberg obrazil się na mnie za użycie w artykule wyrażenia „poezja szeinsbergowska” i broni siebie i swych wydawnictw poetyckich. Zasługi p. Szeinsberga, położone dla tych wydawnictw, w świetle jego interpretacji, wyglądają istotnie na bardzo duże. To też możnaby się dziwić, czemu p. S. nie zrozumiał raczej moich słów jako chęci podkreślenia tych właśnie jego zasług, podkreślenia, że F. Hoesick to tylko firma, a właściwym wydawcą „mnóstwa utworów bardzo licznego zastępu młodych poetów” jest skromnie ukryty w cieniu p. Marjan Szeinsberg. Ale p. S. trochę niezręcznie broni swych wydawnictw. Pisze: „Nie zawsze wydawałem poezje, które mnie porywały. Często wydawałem i wiersze, w których nie umiałem się dopatrzeć ani piękna, ani siły, ani nawet talentu” — a dalej: „drukowałem wiersze przez szacunek dla sztuki i pietyzmu dla poezji”. Z listu p. S. wynika też niedwuznacznie, że uważa się on za mecenasa poezji. Ładny pietyzm! Ładny mecenas! Nie widzi w wierszach ani piękna, ani siły, ani talentu, a jednak je drukuje. To raczej pietyzm dla drukowanego papieru, cokolwiekby na nim było, zrozumiały zresztą u wydawcy. Co zaś do mecenasostwa, to zdaje się, że znalazłby się niejeden autor tomiku, sygnowanego znakiem wydawnictwa „F. Hoesick”, który z powodzeniem mógłby się nazwać mecenasem „Biblioteki Poetyckiej”.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i poważania

Władysław Sebyla

O WYDANIE

POEZJY K. I. GALCZYŃSKIEGO

Szanowny Panie Redaktorze.

Od kilku lat, w czasopiśmie literackich ukazują się wiersze K. I. Galczyńskiego, inne, krążą wśród przyjaciół jego w odpisach, lub nawet oryginałach. Ponieważ utwory te posiadają wysoką wartość poetycką, zaś autor nie zatroszczył się dotąd o ich wydanie, uważamy, że podjęcie w tym kierunku inicjatywy społecznej, jest rzeczą konieczną. Tą drogą zwracamy się do PP. Wydawców z publicznym apelem, aby zajęli się sprawą udostępnienia utworów świętego poety szerszym kołom czytelników.

Józef Czechowicz
Bolesław Miciński
Henryk Ładosz

„CHŁOPY IDĄ”

czyli pisanie o rzeczach, o których się niema pojęcia.

Szanowny Panie Redaktorze

Przed kilku tygodniami zaprenumerowałem „Pion”, gdyż chciałem tą drogą nawiązać „znajomość” z „oficjalnym” światem literackim. W przysłanych mi przez Adm. numerach znalazł się jeden (nr. 3, z 20.I. 34) — w którym napotkałem artykuł p. T. Makarewicza p. t. „Chłopy pana Piaseckiego”. Zainteresowało mnie to bardzo, co też ci „panowie z miasta” o nas piszą. Trud czytania opłacił się sowicie, gdyż dowiedziałem się rzeczy wprost rewelacyjnych, mianowicie, że te „chłopy”, które idą, wyglądają jakoś dziwnie... Pan Młodożeniec, Bruchter, Brzuza... Więc to mają być te idące w literaturę „chłopy”? Naprawdę, uśmiełem się szczerze z tego p. Piaseckiego i przyklasnałem polemizującemu z nim p. T. Makarewiczowi, który wprowadził też ma „zielone pojęcie” o chłopach, bo się przyznaje, że nic o nich nie słyszał, ale jednak nie godzi się na wywody p. P., który chce gwałtem sfabrykować chłopów „literatów”. Szkoda trudu, kochany panie P., „chłopy — literaty” istnieją, mimo, że ani pan, ani pański przeciwnik o tem nie wiecie. I jest nas nawet dosyć dużo: „Jantek z Bugaja” (chłop-poeta i humorysta, autor 7 wyd. książek z poezjami, pracuje na polu literackim od lat 46, korespondował z Sienskiem, Konopnicką, Rydlem, Wyspiańskim i in. — i był przez nich ceniony), J. Noszek, „Stach z pod Wygiezłowa” R. Rydz, Kapuściński J., Fr. Macioł i tyłu, tyłu innych. Cała gromada. Same chłopy! Prosto od

kosy, cepów, widel i plugów. Tworzymy, drukujemy po różnych gazetkach, choć o nas mało kto wie, a nawet ostatnio stworzyliśmy własne wydawnictwo. Wydaliśmy już 4-y numer miesięcznika „Wieś — jej pieśń”, oraz jedną książeczkę A. Olchy p. t. „Z pod strzechy”. — Opracowujemy antologię poezji ludowej, chłopskiej. — Twórczość nasza jest dość bogata, choć nie stworzyliśmy rzeczy wielkich, boć my, chłopscy pisarze, jesteśmy po większej części samoukami, rzadko który z nas kończył jakieś szkoły. Mimo to są w poezji ludowej i perelki prawdziwe, a w najniezgrabniej nawet skleconym wierszu zawsze odnaleźć można szczerą, chłopską duszę, nieklamane uczucie, zdrową myśl i zapach pszenicznych czy owsianych pól.

Poezja ludowa to nie „przyśpiewki” a la „Aj, ten wielki Jaś...”, to nie wierszyczki z banalnym „Oj dana” po każdej zwrotce, (co ma „znamionować” ludowość...), chłopska poezja płynie swoim własnym łożyskiem i nie ma nic wspólnego z „przyśpiewkami”.

Panu Piaseckiemu i tym, którzy chcą coś gadać na temat poezji chłopskiej, a nie mają o tem pojęcia — radzę zaprenumerowanie „Wieś — jej pieśń” (adres Adm.: J. Kokoszka, Jordanów, Konto P. K. O. nr. 407.146), jedyne w swoim rodzaju pisma. Dowiedźcie się wówczas ci panowie, że ludowi poeci nie walczą ze „staffizmem” czy t. p., bo mają co innego na celu: — niesienie słońca pieśni pod strzechy, podnoszenie szarej braci na wyższy poziom duchowy i budowę nowej, odrodzonej wsi polskiej na chwałę i pożytek ojczyzny i Państwa. Pisać, że „chłopy idą”, a nie mieć o tem pojęcia — naprawdę szkoda.

Antoni Olcha

Wieś Naprawa, 28. II. 1934.

WYWOŁANIE WILKA Z LASU

Szanowny Panie Redaktorze.

Cieszę się, że mój artykuł „Chłopy Pana Piaseckiego” spowodował napisanie listu i ciekawego artykułu autentycznego chłopoliterata pana Antoniego Olchy, redaktora Miesięcznika Literatów Ludowych w Polsce: „Wieś — jej Pieśń”.

Cieszę się do tego stopnia, że darowałem z lekkim sercem p. Olsze owo zdanie „...i przyklasnałem p. Makarewiczowi, który wprowadził też ma „zielone pojęcie” o chłopach, bo się przyznaje, że nic o nich nie słyszał”. Poprostu jest to nieporozumienie, nie zrozumiał p. Olcha ironji skierowanej pod adresem P. Piaseckiego, bo przecie owo zdanie: „nikt nic nie słyszy, ale Pan Piasecki słyszy jak trawa rośnie” nie jest moim przyznaniem się do nieznajomości chłopskiego piśmiennictwa. Taki znów skromny nie jestem...

Nie trzeba przecież na wsi się rodzić, aby cenić i znać się na poezji ludowej i wiedziedzieć o jej istnieniu.

Ale to nieporozumienie jest stosunkowo mało ważne. Ważny natomiast jest ciekawy artykuł i list p. Olchy — jako przedstawiciela literatury ludowej. Ważne jest zainteresowanie pismem literackim stolicy. To jest objaw radosny, że chłopoliteraci „chcą nawiązać znajomość” z „oficjalnym światem literackim”. Takie zawarcie znajomości wyjdzie obu stronom na dobre, bo każdy o tem wie, ile owa „oficjalna” literatura polska — poezji, a malarstwo i grafika, — sztuce ludowej mają do zawdzięczenia.

To, że p. Olcha wyczuł poza chłopomańską u niektórych naszych, pasowanych na „poetów ludowych” literatów, świadczy o wnikliwym odczuwaniu i dużej dozie krytycyzmu. Istotnie, panie Olcha, powtarzanie po kilkadziesiąt razy o j. dana, dana wcale o ludowości nie świadczy. Demaskując tylko „efekty” dziennikarskie P. Piaseckiego nie spodziewałem się, że... wywołam wilka z lasu. A że wyszedł, i że się trochę do tego mimowoli przyczyniłem, bardzo jestem zadowolony.

Tadeusz Makarewicz

Na ekranach

ZDOBYĆ CIĘ MUSZĘ

(Kino Adria)

Spiewa nasz rodak. Koło tekstu mają strowali też jacyś Polacy. Wogóle górą nasi. Ze to niby w światowym filmie — my! Naczelne role, szczyty sztuki, gigantyczne gaje! No i nadewszystko możność usłyszenia boskiego Kiepury bez przepłacania za bilety do Filharmonji lub bez zawodu, jeśli się tych biletów nie dostanie. Rodak śpiewa po włosku, po francusku, po polsku... Robi to głosem dalekim od doskonałości: ostro, jednostajnie, bez wdzięku. Jedyna wartość — głos Kiepury — prawdopodobnie z winy aparatu, traci wszystkie cechy bohatera tenora, wzamian wierząc nie-miłosiernie uszy słuchaczy. Zresztą repertuar, jaki dano do wykonania Kiepurze, pozostawia dużo do życzenia, mówiąc delikatnie, a jeśli prosto z mostu mamy mówić — to „faktycznie” szmoncesy. Arję z „Aidy” rodak odwala jakby bulkę z masłem bez zająknięcia, pozostawiając niesmak. Nie jest to ani dowcipne, że tenor śpiewa świetną partję, myśląc o czem innym, zając dając parówki i rysując karykatury; zdaje się, że chodziło reżyserowi Joe May o ośmieszenie opery, wyszedł z tego jednak smutny kicz. Poza to jeśli chodzi o stronę t. zw. uczuciową to wszystko widzieliśmy już w resztkach filmów chociażby tegorocznych, nawet lepiej zrobione i o wiele pomysłowej. Partnerka Kiepury, dość chłodna oraz nader niezdecydowana w miłości. Kiedy ukochany Gatti śpiewa, to wszystko dobrze, ale jak przestaje, to ona zaraz leci za innym. Mogą z tego wynikać niejaki trudności w pożyciu małżeńskim np. w nocy lub przy obiedzie; nie można spać albo jeść i jedno, cześnie śpiewać. A jak utrzymać przy sobie takiego blondasa inaczej?

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Hurtownia

dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc. w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozyla je księgarzom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE DLA KSIĘGARZY P. T.

„KURJER KSIĘGARSKI”.

Taniej!
Wcześniej!
W domu!

NAJTAŃSZYM
W PRENUMERACIE

wielkim dziennikiem stołecznym jest
EXPRESS
PORANNY

Codziennie 8—10—12 wielkich stron, stanowiących żywy wszechstronny obraz wszystkiego co dzieje się w stolicy, w kraju i zagranicą. Liczne jedno i wielobarwne ilustracje PRENUMERATA MIESIĘCZNA Z ODNOŚNIEM DO DOMU LUB PRZESYŁKA POCZTOWĄ

tylko 3 zł. 60 gr.

12 groszy dziennie zamiast 20-tu

Prenumeratę zamawiać można od każdego dnia w m-cu

Adresy kantorów „Expressu Porannego”.
Warszawa, Jasna 10 lub Marszałkowska 3 tel: 693-72 i 8-02-40

Redakcja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19. Konto. P. K. O. Nr. 18.590

Administracja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście.

Redaktor: Tadeusz Świącicki

Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Julian Zielski

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10